

W DRODZE

D W U T Y G O D N I K P O L I T Y C Z N Y I L I T E R A C K I

Nr. 6 (48)

Jerozolima, 16 kwietnia 1945 r.

Rok III

ALEKSANDER BREGMAN

PAŃSTWA WIELKIE I MAŁE

Cała ewolucja polityczna ostatnich kilkunastu miesięcy wyraźnie zmierzała do ustanowienia pewnego rodzaju dyktatury wielkich mocarstw. Jeśli chodzi o chwilę obecną i okres wojny, to dyktatura ta jest faktem dokonany. Zresztą w odniesieniu do decyzji o charakterze strategicznym było to do pewnego stopnia nieuniknione. Ale teraz zarysowuje się chęć utrwalenia tego stanu rzeczy także jeśli chodzi o sprawy polityczne po wojnie, choć pod tym względem nie ma uzasadnienia dla dyktatorskich rządów wielkiej „czwórki” czy „piątki”.

Najbardziej dobitny wyraz tendencje te znalazły w projekcie organizacji powojennej świata opracowanym w Dumbarton Oaks. Uwidaczniają się one zwłaszcza w porównaniu tej „Karty Zjednoczonych Narodów” z dawną Ligą Narodów. Porównanie to wykazuje, że wpływy mniejszych państw zostały zredukowane zarówno przez poważne zmniejszenie zakresu kompetencji Zgromadzenia wszystkich członków Organizacji na korzyść Rady Bezpieczeństwa, jak i przez postanowienie dotyczące składu tej Rady.

Rada Bezpieczeństwa ma się mianowicie składać z 11 członków, spośród których — 5 wielkich mocarstw zajmować będzie miejsca stałe, a pozostałych 6 będzie wybieranych spośród mniejszych państw przez Zgromadzenie na okres dwu lat. Żaden z tych wybranych członków nie będzie mógł być ponownie wybrany po upływie swej kadencji.

Na pierwszy rzut oka można by powiedzieć, że mniejsze państwa mieć będą większą w Radzie. Ale są to tylko pozory. Przede wszystkim sprawa procedury głosowania nie jest jeszcze rozstrzygnięta; aczkolwiek istnieją różne zdania, co do prawa weta mocarstwa oskarżonego o agresję, to jednak wiadomo, że wielkie mocarstwa są zgodne co do tego, że w tym właśnie wypadku powinny mieć przywilej weta. W rezultacie do powzięcia decyzji potrzebna byłaby większość głosów, a w tym jedynym względzie stałych członków, czyli że w praktyce konieczne byłyby głosy 5 wielkich mocarstw oraz tylko jednego mniejszego państwa spośród sześciu. Dysproporcja rażąca: jedno wielkie mocarstwo miałoby wpływ większy, niż 5 mniejszych państw, reprezentujących 30—40 narodów!

W ogóle państwo, które zasiada z wyboru na okres zaledwie dwu lat nie może mieć rzeczywistego wpływu. Same szanse znalezienia się w Radzie będą niewielkie. Liczba Zjednoczonych Narodów wynosi obecnie 45; liczba członków nowej Ligi będzie niewątpliwie znacznie większa i choć nie dojdzie do cyfry 60 członków dawnej Ligi, to jednak zapewne przekroczy liczbę 50. Przeciętna szansa mniejszych państw zasiadania w Radzie wynosiłaby 1:8. Czyli państwa te brałyby udział w obradach Rady przez dwa lata na 16. Trudno jest w tych warunkach mieć wiele do powiedzenia.

WSZYSTKO JUŻ BYŁO

Warto przypomnieć, że dość podobny był układ pierwotnej Rady Ligi Narodów, takiej, jaką powołał do życia Pakt. Gdy opracowywano w Wersalu Pakt Ligi, wysunięty został projekt, aby w Radzie zasiadały tylko wielkie mocarstwa — idea, do której podobno usiłowała nawiązać w Dumbarton Oaks — Rosja. Idea ta nie została jednak wówczas zrealizowana i jedynie usiłowano zapewnić wielkim mocarstwom przewagę, stwarzając dla nich 5 miejsc stałych (na towarzystwo wielkomocarstwowe składały się wówczas: W. Brytania, Stany Zjednoczone, Francja, Japonia i Włochy), a dla reszty tylko 4 miejsca niestałe. Ponieważ jednak Stany Zjednoczone wycofały się z Ligi, powstał stosunek 4:4.

Stosunek ten ulegał następnie ciągłym zmianom na niekorzyść wielkich mocarstw. Ich liczba nie wzrastała, a nawet malała. W 1926 przyjęto Niemcy, które jednak po 8 latach wystąpiły z Ligi. Japonia i Włochy jako winne agresji znalazły się poza Ligą. Rosja, która przystąpiła do niej w 1934, została usunięta, gdy uznano ją w 1939 winną agresji na Finlandię.

Jednocześnie liczba miejsc niestałych została z czterech podniesiona w 1922 do sześciu, w 1926 do dziewięciu, w 1933 do dziesięciu i w roku 1936 do jedenastu. Trudno o lepszy dowód, że duch demokratyczny wymagał zwiększenia reprezentacji mniejszych państw.

Państwa były przy tym wybierane na trzy, a nie na dwa lata i mogły uzyskać od Zgromadzenia prawo ponownego wyboru. Na tej podstawie państwa nie będące wielkimi mocarstwami, ale niemniej odgrywające poważniejszą rolę, mogły zasiadać w Radzie przez dłuższy okres czasu. W tej sytuacji była Polska, zasiadająca w Radzie bez przerwy przez 12 lat, oraz Chiny i Hiszpania.

KARŁY I OLBRZYMY

Wszystko to nie było jeszcze ideałem z punktu widzenia demokracji w stosunkach międzynarodowych. W teorii nie ma uzasadnienia dla miejsc stałych; nie powinno być państw uprzywilejowanych. W praktyce oczywiście tzw. wielkie mocarstwa, wskutek swego znaczenia, będą miały miejsca stałe. Toteż w Genewie uznawano, że wielkie mocarstwa powinny mieć większy wpływ, niemniej przeto odrzucano sztywny podział na dwie kategorie. Zdawano sobie sprawę, że jeżeli rzeczywiście nie można uważać za równych sobie pod względem wpływów i odpowiedzialności np. Wielkiej Brytanii i Albanii, to jednak z drugiej strony istnieją z pewnością większe różnice między np. Stanami Zjednoczonymi, a Włochami, niż między tymiż Włochami, a Brazylią czy Polską. Wszystkie państwa nie będące wielkimi mocarstwami także nie są sobie równe. Czy można dziś stawić na tej samej płaszczyźnie Kanadę i Liberię, Brazylię i Afganistan? Ludzie nie dzielą się na olbrzymów i karłów. Tak samo nie można dzielić narodów na dwie tylko kategorie.

Dawny system ligowy miał jeszcze tę zaletę, że przewidywał możliwość zmian. Liczba członków stałych i niestałych mogła zawsze być powiększona przez samą Radę. Projekt z Dumbarton Oaks niczego podobnego nie przewiduje i wszelka zmiana wymagałaby zmiany samej Karty. Raz na zawsze ustalono, że ma być 5 wielkich mocarstw i 6 mniejszych państw.

A przecież w tej dziedzinie, jak w ogóle w życiu narodów i ludzi, nie ma rzeczy niezmiennych. Ludzie tracą i zyskują siły, majątki i wpływy; narody dziś są uznawane za wielkie mocarstwa, jutro przestają nimi być. Mielśmy ostatecznie wiele kombinacji w ostatnich 130 latach. Święte przymierze, Koncert Europejski, wielka czwórka w Wersalu, Monachium — za każdym razem towarzystwo było inne. Nawet w czasie wojny obecnej widzieliśmy już niejedną zmianę. Chiny zaawansowały na wielkie mocarstwo, ale już odzywały się ziośliwe głosy, że to nieporozumienie, Francja została by w r. 1944 tryumfalnie powrócić do grona wielkich. Wielka Brytania była przez tych 130 lat jedynym stałym członkiem owego klubu wielkich mocarstw.

KRYTERIA, KTÓRYCH NIE MA

Jakie są kryteria uznania państwa za wielkie mocarstwo? Gdzie kończy się karzeł, a gdzie zaczyna olbrzym? Na próżno prosiło by się o wyjaśnienie tej zagadki. Istnieje teoria, która głosi, że — jak to ujął londyński „The Economist” — „wielkim mocarstwem jest państwo zdolne prowadzić czynnie i samodzielnie wojnę przeciw innemu wielkiemu mocarstwu... Aby nie było żadnej wątpliwości, państwo to musi być w stanie walczyć przy

pomocy własnych zasobów”. Ale jeśli by się chciało dosłownie traktować te kryteria, mogło by się okazać, że w ogóle nie ma wielkich mocarstw. Francja została pobita, czyli nie była zdolna prowadzić wojny, a już z pewnością wojny „samodzielnej”. Chiny nie mogą z pewnością prowadzić wojny „czynnej” przy pomocy własnych zasobów. Wielka Brytania — według słów Churchilla — mogłaby podzielić los Francji, gdyby Niemcy dokonali inwazji w 1940 roku. Rosja, gdyby walczyła sama jedna przeciw Niemcom, nie zdołała by się zapewne obronić. W ogóle dziś nie ma bodaj państwa, które by mogło walczyć samo jedno przeciw naprawdę potężnemu przeciwnikowi. Ponowne uznanie Francji za wielkie mocarstwo jest dowodem, że nie można brać losu danego państwa w czasie wojny za kryterium mocarstwowości. A jednak poza wymienioną definicją wielkiego mocarstwa na próżno by się szukało jakiegokolwiek innej.

Oczywiście najsilniejsze państwa mieć będą zawsze większy wpływ na decyzje w polityce międzynarodowej, aniżeli małe i słabe. Gdyby nawet znieść miejsca stałe, to i tak wielkie mocarstwa byłyby zawsze wybierane do organów kierowniczych. Ale czy ta nierówność faktyczna powinna być podniesiona do zasady prawnej? Czy demokracja nie wymaga przyznania wszystkim państwom równości praw, tak jak demokracja w stosunkach wewnętrznych wymaga by wszyscy ludzie bez względu na to, czy są fizycznie silni, czy słabi, bogaci czy biedni, ustosunkowani, czy nie nie znaczący, byli równi wobec prawa?

I dlatego kolejne powiększenia liczby członków Rady zapewniające większy udział mniejszych państw szły na pewno po linii większej demokracji w stosunkach międzynarodowych. Czy wpływało to ujemnie na prace Rady? Czy odpowiada prawdzie zarzut, że Rada stawała się zbyt ciężkim organem niezdolnym do podejmowania decyzji? Nikt nie potrafi przytoczyć choćby jednego przykładu, kiedy opozycja któregoś z mniejszych państw uniemożliwiła czy choćby opóźniła powzięcie ważnej decyzji. Jeśli Liga zbankrutowała, to nie z winy mniejszych, lecz z winy wielkich państw.

IDEA MUSSOLINIEGO I HITLERA...

Proces demokratyzacji Ligi i zwłaszcza Rady nie odbywał się zresztą bez oporów. Najbardziej zdecydowaną próbą powstrzymania, a nawet przekreślenia tego procesu był pakt czterech mocarstw podpisany w Rzymie w 1933 roku. Został on zaproponowany przez Mussoliniego w porozumieniu z Hitlerem, który zmierzał do stworzenia dyktatoratu czterech wielkich mocarstw. Pakt czterech nie wszedł w życie, gdyż Francja nie ratyfikowała go, zorientowawszy się w porę w niebezpieczeństwie, ale w parę lat później został de facto urzeczywistniony w Monachium.

Nie jest oczywiście rzeczą przypadku, że inicjatywa paktu czterech wyszła od Mussoliniego i od Hitlera. Ci, którzy nie uznają demokracji w stosunkach wewnętrznych i którzy wyznają zasadę „siły przed prawem” oczywiście nie mogą uznawać demokracji w stosunkach międzynarodowych.

Jest też z pewnością jednym z wielu smutnych paradoksów naszych czasów, że ta idea przetłumaczona z niemieckiego „Fuehrerprinzip” na angielski „Leadership” została przyję-

oalenia jedności Narodów Zjednoczonych. Do Roosevelta jednak należy sformułowanie ideologicznych zasad pokoju, a zarazem celów wojny, w nieśmiertelnym dokumencie Karty Atlantycznej i w słynnych „czterech wolnościach”. Dalszy bieg historii pokaże, czy śmierć Prezydenta pozabawiła go oglądania dnia triumfu czy też oszczędziła mu doświadczeń dnia goryczy.

Roosevelt był jedynym prezydentem Stanów Zjedn. wybranym czterokrotnie i będąc jedną z największych postaci historii Ameryki, był też jednym z największych ludzi naszej epoki.

Życzliwość Prezydenta dla Polski i Polaków była przez długi czas przysłowiowa i chyba nigdy tak trwale nie zapisały się w naszej historii słowa obcego meża stanu, jak rooseveltowskie określenie Polski jako natchnienia narodów.

W numerze:

J. Larren-Lenczowski: Wyspa nafty i słońca. — R. Makarewicz: Dobre sąsiedztwo czy gruby kij. — T. Terlecki: Poezja Ober-tyńskiej. — Dawid Lazer: Chrapusta. — K. Wierzyński: Modlitwa nocna. — M. Kuncewiczowa: Zmowa nieobecnych. — Scrutator: Polonica w książkach angielskich: Stosunki polsko-sowieckie. Rosja i Middle East. Anglia, Rosja i Polska. — Jan Martyka: W Ameryce umarli wracają... H. S. Dominik: Tola Korian.—zb.: Przegląd polityczny: W przededniu San Francisco.

ta przez Sojuszników, którzy proklamują, że walczą o demokrację, ale wahają się w zastanowieniu jej w stosunkach międzynarodowych. Nie można oczywiście dziwić się, że totalna Rosja wyznaje tę antydemokratyczną doktrynę. Ale dlaczego czynią to demokracje anglosaskie?

Jeżeliby idea dyktatoratu wielkich mocarstw choćby zamaskowanego w ten sposób, jak to czyni projekt z Dumbarton Oaks została zrealizowana, to byłby to pogrobowy tryumf narodowego socjalizmu.

BEZSILNE ZGROMADZENIE

W stosunku do Ligi Narodów sytuacja mniejszych państw według projektu z Dumbarton Oaks ulega tym większemu pogorszeniu, że Rada, w której mieć będą tak mały wpływ, ma być wszechpotężna, podczas gdy Zgromadzenie, w którym wszystkie państwa mieć będą równy głos, zostaje zredukowane do roli organu doradczego.

W dawnej Lidze zarówno Rada jak i Zgromadzenie miały mniej więcej równe kompetencje. Istniała w szczególności możliwość przekazania zgromadzeniu sprawy konfliktu grożącego wojną. Wedle planu z Dumbarton Oaks nie ma o tym mowy. Zgromadzenie może formułować zalecenia na temat zasad współpracy w utrzymaniu pokoju i bezpieczeństwa międzynarodowego, ale każda sprawa, która wymaga podjęcia akcji musi być przekazana Radzie. Co więcej Zgromadzenie „nie powinno z własnej inicjatywy formułować zaleceń na temat jakiegokolwiek zagadnienia dotyczącego utrzymania pokoju i bezpieczeństwa międzynarodowego, którym zajmuje się Rada Bezpieczeństwa”.

Innymi słowy Zgromadzenie nie może w ogóle podejmować decyzji w najważniejszych sprawach, może co najwyżej dyskutować sprawy, ale bez formułowania zaleceń, nie mówiąc już o pobieraniu decyzji. Państwa, które nie będą miały zaufania do Rady, nie będą mogły żądać przekazania ich sprawy Zgromadzeniu, w którym mogłyby liczyć na większe zrozumienie dla interesów i praw słabszego. Nie ma też możliwości zwołania nadzwyczajnego Zgromadzenia, jak to przewidywał Pakt Ligi. Zgromadzenie nie będzie miało żadnej możliwości skorygowania decyzji Rady czy nawet wyrażenia swej dezaprobaty w formie odrzucenia dorocznego sprawozdania Rady. Wolno mu tylko „otrzymać i rozpatrzyć to sprawozdanie”.

Uprawnienia Zgromadzenia są minimalne: uchwalenie budżetu i wybór niestałych członków Rady. Wybór Sekretarza Generalnego dokonywuje Zgromadzenie na wniosek Rady. Przyjęcie nowych członków, zawieszenie w prawach czy usunięcie jakiegoś członka również może nastąpić tylko na zalecenie Rady Bezpieczeństwa.

Jak z tego wynika, państwa, które nie będą zasiadały w Radzie — a w tej sytuacji będzie w ciągu 14 lat na 16 siedem ósmych wszystkich państw nie będących wielkimi mocarstwami — będą posiadać tylko minimalne możliwości wywarcia jakiegokolwiek wpływu na decyzje Organizacji. Wolno im będzie wypowiedzieć się, czy wypląkać na Zgromadzeniu, ale z tym nikt zbyt nie oędzie się liczyć.

W tej sytuacji dla mniejszych państw nie miało by w ogóle większego znaczenia, czy będą należały do organizacji. Przy tryumfie podobnych koncepcji są one skazane, by być pionkami w grze wielkich mocarstw.

ABY WARTO BYŁO NALEŻEĆ...

Jakie są sposoby, aby uniknąć takiego niezwykle niedemokratycznego stanu rzeczy?

Z jednej strony należało by poważnie powiększyć liczbę członków niestałych — przynajmniej do 10. Było by także wskazanym przedłużyć kadencję, a także zapewnić możliwość reelekcji.

Z drugiej strony trzeba by znacznie zwiększyć uprawnienia Zgromadzenia, a w szczególności stworzyć możliwość odwołania się do niego ze strony państw, które nie będą miały absolutnego zaufania do Rady. Zgromadzenie powinno być zrównane w prawach z Radą, zamiast być tylko organem doradczym.

Tylko wówczas mniejsze państwa nie będą się obawiały, że nowa organizacja nie jest niczym innym, jak jedynie instrumentem dyktatoratu wielkich mocarstw, które mogą ratować pokój — według monachijskich wzorów.

Aleksander Bregman

Zgon Prez. Roosevelta

Już podczas druku numeru otrzymaliśmy żalobną wiadomość o zgonie Prezydenta Roosevelta.

Prezydent odszedł w chwili gdy III armia amerykańska zbliża się do Berlina i gdy wejście Sprzymierzonych do stolicy Rzeszy jest kwestią dni, a wkrótce może stać się już tylko kwestią godzin. Nie było dane przywódce amerykańskiego narodu oglądać dnia ostatecznego zwycięstwa, umarł jednak ze świadomością, że wypełnił pierwszą część swego wielkiego dzieła: wygranie wojny. Upadek Rzeszy jest nieuchronny, a nad odzyskaną stolicą Filipin znów powiewa gwiazdasty sztandar.

Druga część dzieła wielkiego Demokrata: organizacja pokoju — pozostała nieskończona i nie zdążył Roosevelt przekonać się sam, czy przyniosły oczekiwane wyniki te kompromisy jakie uczynił dla

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

WYSPA NAFTY I SŁOŃCA

Doznałem bez wątpienia radosnego dreszczu, gdy pewnego poranka amerykański przyjaciel-lotnik zapytał mnie krótko przez telefon, czy Mr. i Mrs. Lanchovsky reflektują na „powietrzny spacer“ do Abadanu. Kiedy? — Jutro, lub pojutrze — zależnie od „weather report“. Oczywiście wyraziłem zgodę.

Jak się okazało wysokie góry Persji były przeszkodą nie tylko dla wojsk Hulagu czy Aleksandra, ale są nią także dla nowoczesnego lotnictwa — o ile gęste chmury osiada na ich szczytach. Pogoda była pod psem i „jutro“ zmieniło się w „pojutrze“. Ale nareszcie ów dzień nadszedł. Niebo było bez chmurki i szczyty Elbrusu lśniły w śniegu i słońcu nad Teheranem, jak w bajce. Szary wojskowy „Chevrolet“ amerykański dowiózł nas rano do lotniska Kale Morgi, gdzie gospodarują obok siebie Amerykanie i Rosjanie. Nasz samolot czekał gotowy do lotu, srebrnie pobłyskujący w promieniach słońca mroźnego poranka perskiego. Odczuwa się jakąś niezwykłą radość życia w tym momencie, przed wejściem do kabiny. Podróż będzie bez formalności, bez paszportów i wiz, bez sprawdzania biletów. Poznajemy naszych przypadkowych towarzyszy podróży: majora armii amerykańskiej i dwie panny z ambasady Stanów Zjednoczonych w Teheranie. Całe to towarzystwo jest także zaproszone przez naszego „gospodarza“, by się nie nudzić.

Lot do Basry

Startujemy. Po paru minutach unosimy się już nad ziemią, robimy koło nad Teheranem. Świeżo poznane towarzystwo ożywia się: zgadujemy nazwy ulic, widzianych z góry. Amerykanki wyciągają gumę do żucia i częstują nas. W samolocie jest ciepło, nasz gospodarz, który sam pilotuje, reguluje nam temperaturę stosownie do życzeń.

Płaskowyż Iranu — w tej chwili wcale nie taki płaski — wygląda imponująco. Pasma gór, jedno po drugim, ośnieżone szczyty. Bardziej w dole przeważa żółty lub brunatny kolor. Ani śladu życia, ani śladu roślinności. Tak lecimy, minuta po minucie, nad krajobrazem pełnym patosu, okrutnym, wspaniałym i samotnym — a jakże obcym. Tak — Persja tylko w nielicznych punktach — oazach jest ową Persją z bajki i poezji, ową Persją róz i stówików Hafiza i Saadiego. To, co widzimy teraz pod sobą, jak i to, co się widzi na trasie do Bagdadu — to przerażające w swej bezwzględności pustkowia — fantastyczna scenaria dla mitologicznych bohaterów, dla bogów burzy i piorunów.

W okolicach Ahwazu teren się obniża i wyrównuje. Lecimy znów nad płaską, monotonną pustynią w kierunku Basry. Im bliżej niziny mezopotamskiej — tym liczniejsze kanały irygacyjne. Obserwujemy rozlewiska i moczary. Wreszcie — po blisko dwu godzinach lotu zbliżamy się do Basry, największego portu Zatoki Perskiej. Basra nie leży nad samym morzem, lecz nad rzeką Szatt-el-Arab, w odległości około 80 km od brzegu morskiego. Wspaniały i szeroki Szatt-El-Arab, powstały z połączenia w dolnym biegu Tygrysu i Eufratu, toczy majestatycznie swe wody wśród tropikalnego krajobrazu. Po obu stronach rzeki — zarówno z jej biegiem, jak i w górę, ciągną się, jak okiem sięgnąć, lasy palm daktylowych. Ten szeroki pas zieleni przecina ostrym konturem żółtą pustynię, stanowiąc jeden z najwspanialszych kontrastów. Można to porównać do kontrastu doliny Nilu z otaczającą ją pustynią w pewnych porach roku. Tutaj jednak to przejście od pustyni do zieleni wydaje się jeszcze bardziej gwałtowne, bardziej egzotyczne. Przyczyną tego zjawiska jest niesłychana soczystość koloru lasu palmowego, sownie zroszonego siecią kanałów. Ten egzotyzm krajobrazu nie zmniejsza się przy lądowaniu, raczej się wzmacnia, gdy w niskim locie nad rzeką, patrzy się na brzegi pokryte gęsto podszytym gajem.

Lądujemy. Lotnisko w Basrze ma reputację jednego z najlepszych na Środkowym Wschodzie. Wspaniale się prezentuje olbrzymi hotel turystyczny. Nasze dwie Amerykanki wysiadają z samolotu, gdyż Basra jest celem ich podróży. Zjawia się urzędnik iracki w charakterystycznej czarnej furażerce, który załatwi z nimi formalności paszportowe. My pozostajemy w samolocie i po trzech minutach ruszamy w dalszą drogę. Do Abadanu mamy jeszcze około 60 km. Znow wznosimy się nad majestatyczną rzeką i nad lasami palmowymi, będącymi centrem największej produkcji daktyli na świecie. Na rzece jest rojno: wielkie statki transoceaniczne mieszają się z drobniejszymi jachtami i łódkami żaglowymi. Widać ruch — jeden z ważniejszych węzłów handlowo-komunikacyjnych Imperium Brytyjskiego nie śpi. Za 8 minut jesteśmy już nad Abadanem.

Lądujemy na lotnisku amerykańskim i udajemy się do kwater oficerskich Air Transport Command, gdzie się zatrzymujemy.

Wyspa Abadanu

Abadan — to płaska wyspa w Delcie Szatt-el-Arab, o znacznej rozpiętości — oblana z dwu stron wodami rzeki, a od południa przylegająca do Zatoki Perskiej.

Wyspa pokryta jest częściowo lasem palmowym, w większości jednak stanowi nagą pustynną płaszczynę. Na tej płaszczynie powstało miasto, o blisko 200.000 mieszkańców i największej rafinerii świata, należącej do Anglo-Iranian Oil Company. Pozostałe części wyspy są zajęte przez składy i warsztaty woj-

skowe brytyjskie oraz przez amerykańską bazę lotniczą.

Dominującym, a permanentnym rysem Abadanu jest oczywiście rafineria i wszystko, co do niej przynależy. Rafineria powstała jako naturalny wynik procesu rozwojowego Anglo-Iranian Oil Co. — Gdy w r. 1911 wytręsty pierwsze źródła naftowe w Maszdid-i-Sulejman, wyłoniła się kwestia transportu ropy do jakiegoś punktu nadmorskiego. Wybór padł na Mohammere (dzisiejszy Khorramszar), miejscowość położoną po perskiej stronie rzeki Szatt-el-Arab tuż naprzeciw Abadanu. Mohammera stanowiła wówczas udzielne księstwo pod panowaniem Szeika, który wygrywał spory graniczne między Persją a Turcją, by utwierdzać swą niezawisłość od obu tych państw. Ten typ małego udzielnego władcy był najodpowiedniejszym do rokowań dla brytyjskich władz konsularnych i przedstawicieli Towarzystwa Naftowego. Po zawarciu odpowiednich umów, w których brał żywy udział Arnold Wilson i Sir Percy Cox, rezydent brytyjski w Zatoce Perskiej (późniejszy Wysoki Komisarz Mezopotamii i poseł w Teheranie), przeprowadzono z Maszdid-i-Sulejman do Mohammery rurociąg. Z kolei przystąpiono do budowy rafinerii na Abadanie. Pomysł budowy rafinerii na wyspie rzeki dostępnej dla żeglugi oceanicznej był strategicznie bardzo szczęśliwy i nie dotychczas nie stracił ze swej wartości. Oczywiście Anglicy posiadali od samego początku swój garnizon na Abadanie w myśl zasady, iż źródła i wszelkie urządzenia naftowe winny być strzeżone przez ich własne siły. Tak np. Wilson rozpoczął swą karierę — jako porucznik — dowódca brytyjskiego oddziału, strzeżącego wierceń w Maszdid-i-Sulejman. Potem przebył on kolejno etapy negocjatora naftowego z Szeikiem Mohammery, konsula w tymże mieście, a jeszcze później doradcy politycznego przy sztabie zdobywców Bagdadu, gen. Maude, — łącząc nierozdzielnie swe nazwisko z historią brytyjskiej eksploatacji naftowej nad Zatoką Perską.

Rozwój Abadanu był szybki: przy czynnym zainteresowaniu się admiralicji, powstała w krótkim czasie najwspanialsza rafineria świata, stale ulepszana. Stare „native town“ w Abadanie powiększyło się wielokrotnie, wchłaniając robotniczą ludność miejscową — perską i arabską — pracującą w rafinerii. Miasto to nigdy nie przedstawiało i dziś nie przedstawia nic interesującego. Składa się przeważnie z parterowych proletariackich domków z niewypalanej cegły lub po prostu z lepianki. Jest to, słowem, jeden wielki „slum“, na który nikt nie zwraca uwagi. Dużą część tych domków stanowi wśzakże własność Anglo-Iranian Co., która je swym robotnikom wynajmuje.

Przy rafinerii powstało natomiast osiedle angielskie dla urzędników Kompanii. Osiedle to — to osobne miasto. Komfortowe wille — bungalowy otoczone zielonymi ogrodami, pełnymi kwiatów, świadczą o luksusie tych, którzy w nich żyją. W osiedlu nie brak niczego: są tam korty tenisowe, pływalnia, szkoła, klub, restauracja, kościół i teatr. Ponadto znajdują się tam solidne budynki biurowe Kompanii i budynki szkół technicznych dla młodych Irańczyków, kształconych na przyszłych inżynierów naftowych.

Trzy i pół tysiąca Anglików pracujących w Abadanie zanudziłoby się na śmierć, gdyby sobie nie zorganizowało odpowiednio życia i rozrywek. Nic też dziwnego, że osiedle — to małe miasteczko angielskie ze wszystkimi swymi instytucjami. Kawałek Anglii przeniesiony na inną wyspę — gorącą i słoneczną. *

W czasie obecnej wojny Abadan jest nie tylko ważną bazą naftową, zaopatrującą floty sprzymierzone na Oceanie Indyjskim i na morzach Środkowego Wschodu. Abadan jest także wielką bazą lotniczą amerykańską. W ciągu paru miesięcy od wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej armia amerykańska urządziła na Abadanie wspaniałe lotnisko i montownie samolotów. Tutaj właśnie montowano setkami samoloty dla Rosji i tutaj sowiecka misja lotnicza je przejmowała. Dziś już ta droga nie posyła się samolotów do Rosji wobec otwarcia innych szlaków — więc sprawa ta przeszła do historii i nie stanowi już tajemnicy wojskowej.

W amerykańskiej bazie

Właśnie na terenie amerykańskiej bazy lotniczej wypadło nam zamieszkać na czas pobytu w Abadanie. Wszystko tutaj jest *made in U.S.A.* — od olbrzymich super-fortec, których kontury malują się groźnie na lotnisku — aż do konserwowych kiełbasek, które można dostać na gorąco na dworcu lotniczym przez całe 24 godziny. Mówiąc „dworzec“, nie przesadza się: jest to dworzec w istotnym znaczeniu tego słowa. Jest tam kontrola ruchu, oddział meteorologiczny, biuro informacyjne, hotel, restauracja etc. W powietrzu słychać nieustanny warkot motorów; co parę minut ktoś lądaje lub ktoś startuje — i tak przez cały dzień i całą noc, bez przerwy natężenia ruchu. Amerykanie zawsze się śpieszą. Oczywiście większość podróży, przesuwałych się przez hall dworca — to wojskowi Amerykanie, przeważnie lotnicy. Czasami zjawia się wśród zieleni ich mundurów „cywilna“ szara plama. To na pewno jakiś urzędnik, misjonarz czy ktoś *on special duty*, któremu zezwolono lecieć samolotem Air Transport Command. Pasażer taki na pewno

disponuje którąś z pierwszych trzech „priorities“ — by w ogóle móc lecieć wojskową maszyną. Toteż pomimo szarości cywilnego ubrania, kryje się w nim przeważnie ktoś nie tak bardzo szary w skali politycznej i społecznej.

Z dworca idziemy do kwater oficerskich. Wszystkie kobiety, które z nami przechodziły przez dworzec, kierują się do specjalnego baraku dla pań, mężczyźni zaś otrzymują osobne kwatery. Mój gospodarz i ja dostaliśmy duży wygodny pokój z centralnym ogrzewaniem i z przyległą łazienką. Dowiaduję się, że mamy zaszczyt mieszkac w baraku przeznaczonym w zasadzie dla amerykańskich senatorów i generałów.

Polskie dziewczęta w Abadanie

Nazwa „barak“ sugeruje ubóstwo i tymczasowość. Jednakże zaprzeczca temu murowana, elegancka konstrukcja i urządzenie wnętrza pokoi mieszkalnych. Jako kontynentalny Europejczyk, mieszkaniec Starego Łądu, borykającego się stale z trudnościami materialnymi, nie mogę zbyt łatwo przejść do porządku nad luksusem, który mnie tu na każdym kroku otacza.

Spotkanie z żeńską grupą naszego towarzystwa następuje w messie oficerskiej na lunchu. Tu dopiero stwierdzam, że jednak nie wszystko w Abadan Air Base jest „made in U.S.A.“. Nie są nimi na pewno polskie dziewczęta, w liczbie około dwudziestu, usługujące w stołowni. Na tej zmechanizowanej płaskiej wyspie, gdzie nowoczesność, szablon i technika dominują nad wszystkim, dziewczyny te — to jakby jakieś tchnienie innego, dalekiego świata. Zresztą wszystko się tu pięknie uzupełnia: młode blondynki poruszają się żywo po sali, by usłużyć długonogim „boys“ z Teksasu czy Arizony, którzy właśnie wylądowali po parogodzinnym locie z Indii czy Egiptu. O meskiej publiczności powiedzieć można, że termin „chłopcy“ najlepiej się do nich stosuje. Porucznicy 20-letni, kopitanowie — 25-letni, majorowie — po 26 — 28 lat, oto przeważająca publiczność tej lotniczej sali. Mój gospodarz i ja mamy do spółki 61 lat, a czujemy się obaj w tej stołowni, jak starsi panowie.

Lotnicy mają twarze naiwne i beztroskie. Poznajemy jednego z nich nieco później w barze: kapitan, lat 23, właśnie wylądował po locie z Nowego Yorku, co mu zabrało 58 godzin. Nocuje dziś w Abadanie, jutro rano wylatuje do Czunkingu, przydzielony do wojsk lotniczych gen. Chennault. Jest to jego pierwsza podróż zagranicę. Gdzie był dotychczas? W Casablance i Kairze, gdyż tam lądował. Czy coś widział lub zwiedził? Nie — za mało było czasu. Spędził po parę godzin w każdej z tych baz lotniczych, podobnych kubek w kubek do abadańskiej. Wszędzie taki sam dworzec, takie same baraki, taka sama messa z barem, ping-pongiem, pianinem, wielkim kominkiem z trzaskającymi główniami. Tylko tu wyjątkowo usługują białe kelnerki. O czym mówić z tym młodzieńcem? O polityce oczywiście nie ma mowy. O wojnie — cóż mówić o wojnie? Trwa i oby jak najprędzej się skończyła. Czy jego nabierają żywszego wyrazu — gdy mowa o Japonii.

O, tym łapserdakom trzeba przetrząpać skórę! Czy interesuje go sztuka? — Yes, ale nie zna się na niej. A może widział kiedy japońskie malarstwo? Kapitan wydyma lekceważąco wargi — może kiedyś widział jakieś obrazy, ale to go nie obchodzi. „I am interested in Japan only as in a bombing target“.

Pijemy parę drinków — on mocniejsze, ja z żoną wolimy kalifornijskie soki grapefruitowe i pomidorowe. Rozmowa nie klei się. Nasz gospodarz wypełnia chwilę ciszy, pytając przybylsza o wyniki ostatnich międzyuniwersyteckich meczów footballowych. Młodzieniec ożywia się ogromnie i staje się elokwentny. Po paru minutach rozmowa nasza zostaje zagłuszona ostrą kakofonią. Wyglądamy z baru do sali i widzimy zebrany „ad hoc“ zespół jazz-bandowy. Jeden przy fortepianie, jeden z bębniem i talerzami, saksofonista i trębacz. Wszystko oficerowie — lotnicy. Skąd wykombinowali te instrumenty — nie wiadomo. Nie stanowią żadnego stałego zespołu, gdyż, jak się dowiaduję, dwóch z nich właśnie przyleciało z Indii w drodze do Ameryki, jeden jest tu tylko na parę godzin, a o czwartym nikt nie wie. Wspólny impuls popchnął ich do schwycenia za te instrumenty w owe przypadkowe niedzielne popołudnie i grając, zaspokajają widocznie jakąś tęsknotę swej duszy. Trwa to z półtorej godziny. Tylko swing i swing. Ani jednego tanga, ani jednej carioki czy walca, ani jednej melodii.

Idąc wieczorem spać, mój gospodarz — którego bym nigdy o to nie posadził — wyciąga z walizki grubo tom „Historii Filozofii“. — Zawsze to czytałem przed zaśnięciem — oświadcza mi. Ja też się biorę do lektury — mam akurat w ręku reportaż White'a o Rosji Sowieckiej. Po dziesięciu minutach spoglądam na swego towarzysza. Spi twardo.

A. I. O. C.

Następnego dnia rano przyjeżdżają nasi angielscy przyjaciele z Anglo Iranian Co., by nam pokazać swe królestwo. Ich samochód — to szara limuzyna z nadrukiem A.I.O.C. Jak się okaże wkrótce, w angielskiej części wyspy — wszystkie wozy będą szare i będą nosić ten sam nadruk.

Wyjeżdżamy z obozu amerykańskiego i mijamy *no man's land*, jakim są tereny, za-

jete przez wojska indyjskie. Daleko tu od luksusu panującego u Amerykanów. Po paru minutach jesteśmy w odrębnej rafinerii. Zza każdego zakrętu wychylają się ku nam potężne kominy z pióropuszcami gęstego dymu, który lekki wiatr morski pędzi w stronę lasów na lądzie. Wielkie zbiorniki naftowe błyszczą aluminiowo w słońcu. Raz po raz zalatuje nas ostry wyziew naftowy. Krążymy autem po licznych asfaltowanych alejach wśród urządzeń rafinerii. Po obu stronach drogi każdy obiekt otoczony jest nieprzybyłym drutem kolczastym i wartownikami. Wszędzie napisy: *No smoking on this road — danger*. Dowiaduję się od naszego Anglika, iż z powodu zgęszczonych nieraz wyziewów gazowych niebezpiecznie jest nawet skrzesać ogień zapałką. Właśnie — jak twierdzi — nieostrożność spowodowała wielki pożar w rafinerii 4 listopada 1944. Pech chciał, że w tymże samym dniu wybuchł pożar w innej rafinerii angielskiej — o tysiąc kilometrów bardziej na północ — w Kermanshach, o czym obszernie donosiła prasa teherańska. Przypadki chodzą po ludziach. Stąd — stały garnizon, wartki i cała organizacja „security“. Mówię mojemu Anglikowi: całe szczęście, że żadne mocarstwo nieprzyjacielskie nie miało bazy lotniczej w promieniu działania bombowców na Abadan, i stwierdzam, że dzięki Bogu rafineria jest bezpiecznie położona. Anglik przykmuje to twierdzenie bez wielkiego entuzjazmu, poprawiając: była bezpiecznie położona podczas tamtej wojny, ale sam pan wie, że przyleciał pan tu w 2 godziny 10 minut...

Przejeżdżamy koło doków, gdzie się przelewa ropę prosto z rurociągów do statków-cystern. Staram się stwierdzić, czym różni się w wyglądzie statek-cysterna od zwykłego statku, ale nie potrafie. Jak to odróżniają lotnicy i łodzie podwodne — to już ich sprawa. Gospodarz zapytuje nas, czy chcemy zobaczyć wnętrze jednego z zakładów rafineryjnych. Uprzejmie odmawiamy, gdyż i tak niewiele z technicznego procesu moglibyśmy zrozumieć. *

Następnym etapem jest angielski „Boat Club“. Pierwsze kroki, zrobione w daktylowym parku klubu, dają nam poznać, iż znajdujemy się w kolonialnym świecie brytyjskim. Park starannie utrzymany i ogrodzony. Żwirrowe lub drewniane nawierzchnie ścieżek. Zielona, świeża murawa — ten nieodłączny rekwizyt Anglików gdziekolwiek się nie znajduje, choćby w najsuchszym tropikalnym klimacie. Ale jakże miły rekwizyt! Ogród klubu nad wodą — ze stolikami i drinkami. Gin i whisky z lodem o każdej porze podane przez służbę w białych liberach. Słyszmy wymienne wzajemne powitania: *Hallo, John breeze to-day, isn't it?* Padają urywane zdania o ostatnich wynikach regat, meczów tenisowych i wczorajszym programie ENSA w teatrze osiedla. Anglicy są lekko i kolorowo ubrani. Pomimo lutego o jedenastej rano jest tu całkiem ciepło. Kraciaste szkockie tweedy mieszają się z białą szortów tenisowych, czerwienią i cytryną damskich swetrów. Jakies 6-letnie piegowate Johny i Pamele bawią się piłką. Mówię do pani X., żony naszego Anglika, że wiele widzi się tu dzieci angielskich. Odpowiada z uśmiechem — o, wie Pan, Anglicy na Abadanie mają życie bardzo monotonne i tylko trzy namiętności: *whisky, yachting and children*. — Zwiędzamy stateczek klubowy, robimy parę zdjęć. —

Resztę dnia spędzamy w gościnnym bungalowie państwa X., w którym w południe działa aparat ochładzający, wieczorem zaś ogrzewają powietrze piec elektryczny i wesoło trzaskające bierwiona w kominku. *

Odwiedziny u grupy polskich oficerów uzupełniają nasz pobyt w Abadanie. Jest ich przeszło dwudziestu... Zaangażowani zostali jako inspektorzy służby wartowniczej rafinerii i podlegają brytyjskiemu dowództwu. Gościnnie podejmują nas w swym kasynie, mile urządzonym, ale jakże skromnym w porównaniu z amerykańskim. Życie prowadzą monotonne, uskarżają się na brak polskich książek i wydawnictw. Obiecujemy pomóc w tej dziedzinie. Chciwie słuchają wieści z szerszego świata. Wydają się być dziwnie osamotnieni i jacyś nierzeczywiści na tej obec, płaskiej wyspie. Dzięki nim i tutaj powiewa biało-czerwona flaga. *

Następnego dnia rano odlatujemy. Na wolne dwa miejsca w samolocie zaprasza nasz gospodarz w ostatniej chwili amerykańskiego dyplomata z żoną. Przylecieli w nocy z Czunkingu, lecąc do Moskwy i są bardzo wdzięczni za tę okazję lotu, która oszczędzi im czekania. Rezerwa nie jest cechą Amerykanów, nawet ich dyplomatów. W chwili startu rozmawiamy, jakbyśmy się już od dawna znali. Mrs. Y. opowiada, jak to jeszcze niedawno była współpracowniczką *Washington Post*. Wymieniamy wspólnych znajomych. Nowo-przybyli częstują nas tradycyjnie gumą do żucia. Po paru minutach huk motorów zniechęca do dalszej rozmowy. Nakładamy słuchawki, by posłuchać Broadway-lullaby nadawanej przez amerykańską stację nadawczą w Ahwazie. Bierzymy do ręki ilustrowane „Life“. Pod nami las palmowy Abadanu zamienia się w puszystą trawę, słońce odbija się w Szatt-el-Arab, jak w klindze miecza. Rzucaamy ostatnie spojrzenie na malejącą Abadan — wyspę nafty i słońca.

ROMAN MAKAREWICZ

Dobre sasiedztwo czy dobry kij

Na olbrzymich przestrzeniach od Rio Grande del Norte aż po Ziemię Ognistą, terytoriach, zamieszkanych przez około 150 milionów ludzi różnych ras i narodowości, które przez przyjęcie w okresie odkryć i kolonizacji kultury hiszpańsko-portugalskiej określamy wspólną nazwą Ameryki Łacińskiej, — ściera się prądy i wpływy, przenikające tam z rozmaitych źródeł polityki światowej. Te sprawy, do niedawna „lokalne“, stają się nam coraz bliższe, gdy zważywszy, że Ameryka Łacińska w tej wojnie bardziej niż kiedykolwiek dokonała ewolucji z płaszczyzny kontynentalnej na płaszczyznę światową. Czy to przez czynny udział w wojnie, jak na przykład Brazylii, czy przez oddanie baz lotniczych i morskich na usługi aliantów, czy w końcu przez zaopatrywanie Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych w niezbędne surowce, — Amerykanie łacińscy biorą żywy udział w rozwoju wypadków wojennych, i przez to samo zyskują prawa do czynnego udziału w powojennej rekonstrukcji świata. Wszelkie próby zastosowania „realizmu politycznego“, pod którym — jak wiadomo — ukrywa się tendencja wielkich mocarstw do wprowadzenia pewnego rodzaju dyktatury światowej, spotyka się w tych krajach, które dopiero w ubiegłym stuleciu odzyskały wolność, z żywym i naturalnym protestem. Dlatego narody łacińsko-amerykańskie na konferencji lotniczej w Chicago ogłosiły solidarną deklarację przeciw arbitrażowi wielkich mocarstw. Dlatego występują w swoim, a tym samym i w naszym interesie o równe i jednolite traktowanie poszczególnych narodów. Dlatego wreszcie ich organizmy państwowe tak silnie reagują na tendencje imperialistyczne oraz formy nakazów, z jakiegokolwiek strony by nie pochodziły.

Nacjonalizm Argentyny

Ostry ton Waszyngtonu pod adresem Buenos Aires i dalszy, znany rozwój wypadków, prowadzących do zerwania stosunków, zagroził polityce pan-amerykańskiej, tak skutecznie lansowanej w obu Amerykach od czasów konferencji w Rio de Janeiro, w r. 1942. Jak to określił Alastair Forbes w „Daily Mail“, — State Department przemówił do kolejnych rządów generałów Ramirez i Farrelli językiem, stosowanym przez Rosję do rządu polskiego w Londynie. Chcąc pozyskać Argentynę dla swojej polityki, amerykański podsekretarz stanu, użył nie perswazji, lecz słów gwałtownych, zawierających groźbę natychmiastowej interwencji i sankcji politycznych i gospodarczych. Była to dyplomatyczna niezręczność, wynikająca przede wszystkim z nieznajomości wrażliwej umysłowości ludzi południowej Ameryki. O ile bowiem chwiejność polityki Argentyny mogła wywołać w Stanach Zjednoczonych pewne zastrzeżenia, o tyle kategoryczne żądanie dostosowania się do polityki Waszyngtonu musiało spowodować mimowolny może, ale naturalny odruch ambitywnych kierowników z Buenos Aires. Taktycznym błędem było również oskarżanie polityki argentyńskiej o tendencje proniemieckie, czy zgoła prosoiowe. Silnie rozwinięty nacjonalizm argentyński nie opiera się o żadną ideologię o hasłach faszystowskich, demokratycznych czy komunistycznych. Jest po prostu nacjonalizmem samym w sobie i dla siebie. Sympatyzując z Brytyjczykami, odwraca się przeciw Stanom Zjednoczonym, których hegemonii Argentynczycy panicznie się obawiają i chcieliby tym wpływem przeciwstawić blok Ameryki Łacińskiej.

Nawet jedyny wojujący z tamtych stron aliant, — Brazylii, wydaje się przedkładać politykę „najbliższego sąsiedztwa“ nad ogólno-amerykańską — „dobrego sąsiedztwa“. Ostatnie zmiany w kierownictwie polityki zagranicznej Brazylii, ustąpienie ministra Oswalda Aranha i koordynatora interesów panamerykańskich, Joao Alberto, podkreśla solidarność krajów południowo-amerykańskich w chwili, gdy zaczynają wyczuwać presję obcą. Ameryka Południowa jest kontynentem łatwo zapalnym. Rozdmuchanie lokalnych antagonizmów nie jest dla wielkich mocarstw rzeczą trudną, zwłaszcza gdy chodzi o „wyższe cele“, jak o naftę. Przykłady mamy w nie tak dawnej wojnie o Grand Chaco. Niebezpieczeństwo dzisiaj jest tym większe, gdy na ten teren penetruje propaganda walki klasowej, skomplikowanej przez problemy rasowe. W większości krajów południowo-amerykańskich problem rasowy dotychczas nie istniał. Ale można go łatwo stworzyć, wykorzystując wrodzony kompleks niższości czarnych lub „mulatos“.

„Polonization“

Czytelnikowi nasuwa się pytanie: „dobrze, ale co n a s t o może obchodzić?“ Może i powinno. Powinno, bo stosunki międzynarodowe układają się według prawa naczyń połączonych. Rewolucja francuska daje Ameryce ideologiczne podstawy do walk wolnościowych. Te same bomby, odbite rozkoszaniem o place Madrytu, spadły na Warszawę. Tak samo nieustraszeni, bohaterska walka Warszawy może dla drugiej półkuli stać się symbolem, więcej — przyczyną niewiary w jakąkolwiek współpracę międzynarodową w świecie, gdzie Karta Atlantycka staje się mitem, gdzie krzyk rozpacz mordowanego narodu ściszanym jest w rozgłosniach, w prasie, w opinii publicznej, gdzie nagość ruin Warszawy jest pornografią, obrażającą moralność dostojników. Cóż więc dziwnego, że gdy polityka międzynarodowa

zrzuca niewygodny płaszczyk ideologiczny, upraszcza się w systemie obrony i kontrakcji, ograniczonej już tylko do tego, aby nie dać się nabrać, — cóż zatem dziwnego, że narody, wątpiące w gwiazdę przewodnią Teheranu, wyrzekają się zbawienia na łonie Wielkiej Czwórki i ziemi obiecanej, poprzecinanej liniami Curzona.

Jak wielkim jest oddźwięk spraw polskich na tamtym kontynencie, niech świadczy drobny przykład z dziedziny terminologii politycznej. W Boliwii ponad wszystkimi interesami narodowymi dominuje tęsknota do morza i pewien żal do Chile, którego wiele tysięcy kilometrów wybrzeża morskiego dzieli Boliwię od oceanu. Ten żal tkwi głęboko i wytworzył pewnego rodzaju kompleks w umysłowości Boliwijczyka. I tak w słownictwie hiszpańskim Boliwii powstał nowotwór językowy „polonization“, który oznacza „odcięcie kraju samodzielnego od morza“.

Ale stwierdzając oddźwięk wypadków europejskich na terenie Ameryki Południowej, musimy równocześnie przypuszczać odwrotność kierunku tej zależności wydarzeń. To, co się dziś dzieje na tamtym kontynencie, może według tych samych praw fizycznych przedostać się na kontynent europejski. Opór Argentyny, rewolucja boliwijska i zmiany na kierowniczych stanowiskach w polityce zagranicznej Brazylii, to jest to samo źródło światła, które oświeca transparent z wyraźnym veťo przeciw polityce grubego kija.

Memorandum Urugwaju, złożone rządowi Stanów Zjednoczonych, na temat zagadnień powojennej organizacji bezpieczeństwa, jest wyrazem sprzeciwu wobec polityki wielkich mocarstw i jednostronnych uchwał Dumbarton Oaks. Rząd urugwajski przypomina konieczność stosowania zasady absolutnej równości narodów wielkich i małych i uważa, „qu'il conviendrait et qu'il serait mēme nēcessaire de rēaliser et d'appliquer les principes de la Charte de l'Atlantique“. Fakt przypomnienia twórcom Karty Atlantyckiej o konieczności stosowania się do jej zasad, nie jest pozbawiony uroku i ironii.

Meksyk w sprawie polskiej

Albo, przechodząc do rzeczy ostatnich, posłuchajmy głosu Meksyku, świadczącego o pełnym zrozumieniu Ameryki Łacińskiej dla sprawy polskiej jako probierza spraw nie tylko polskich, albo europejskich, lecz ogólnosiwiatowych. Miguel Alessio Robles w „El Universal“ z dnia 6 listopada ub. r. pisze: „Dla wszystkich narodów świata rozwiązanie problemu polskiego posiada znaczenie pierwszorzędnej wagi. Nie bronimy rządu polskiego w Londynie. Jednak jeżeli wielkie mocarstwa, Wielka Brytania, Rosja i Stany Zjednoczone, uznają komitet polski w Lublinie, wówczas powstanie ponury precedens o strasznych i nieobliczalnych konsekwencjach dla krajów słabszych, do których zaliczyć należy również i Meksyk. Narody silne rozniecą z niesłychaną łatwością rebelię i agresję pomiędzy krajami słabszymi. Postaramy się wyjaśnić nasze rozumowanie na przykładzie. Przypuśćmy, że Ameryka Północna ma zamiar nabyć od Meksyku półwysep zatoki kalifornijskiej, a rząd meksykański temu się sprzeciwia, ponieważ sentyment narodowy oraz konstytucja Republiki na taką transakcję nie zezwalają. Tymczasem rząd amerykański popiera i uznaje komitet, stworzony przez grupę Meksykanoów, który wypowie się przeciw stanowisku rządu naszego kraju. W ten łatwy sposób, bez rozlewu krwi i gwałtu, można zdeptać suwerenność narodu. Dlatego tak niezmiernie interesuje nas przypadek Polski. To, co się dzieje w Polsce, może się zdarzyć we wszystkich krajach tego globu“.

Nasi amerykańscy przyjaciele zdają sobie z tych powiazań dokładnie sprawę. Zdaniem wybitnego publicysty brazylijskiego, Assis de Chateaubriand, los Brazylii tak samo jest związany z rekonstrukcją Polski, jak z odzyskaniem należnego stanowiska przez Francję i powrotem niezależności Włoch.

Nie wiemy jeszcze, gdzie skropli się ta ciężka chmura, zawieszona nad rozległym obszarem Ameryki Łacińskiej, ale znamy już teraz zasadnicze prądy: 1) blok państw południowo-amerykańskich ciążący ku Europie, skierowany przeciw wpływom Stanów Zjednoczonych; 2) Panameryka, w sensie ścisłej współpracy wolnych i niezależnych państw obu Ameryk, na równych prawach w poszanowaniu i zrozumieniu wzajemnych potrzeb. Dla realizacji planu Panameryki, który jedynie może wyprowadzić ten kontynent z niebezpieczeństwa powojennego chaosu, konieczna jest bardzo umiejętna i cierpliwa polityka Stanów Zjednoczonych: wyrozumiała polityka „dobrego sąsiedztwa“. „Good neighbour“, ale nie „big stick policy“.

TYMON TERLECKI

Poezja Beaty Obertyńskiej

Słowo wstępne do wieczoru autorskiego, na którym Beata Obertyńska odczytała wiersze dawne i nowe, a Tola Korian poemat „O braciach Mroźnych“. Wieczór odbył się z inicjatywy PEN-Clubu Polskiego w Ognisku Polskim w Londynie, dnia 9 lutego 1945 r.

Otwierając ten wieczór, podejmuję sprawę zaiste osobliwą. Oto jak mrok wypłatuje się z sennej dziwotworności, ze straszności, wikłającej nasze życie na dnie tego obcego morza, odbijam się od dna i usiłuję wypłynąć na powierzchnię. Oto nachylam się u brzegu niewstrzymanej rzeki i staram się sięgnąć ziemi, która została po tamtej stronie. Cofam zaklęciem czas. Wracam do kraju dzieciństwa — do mojej lwowskiej ojczyzny.

Bo mój kraj lat dzieciennych jest rodzimym krajem poezji Beaty Obertyńskiej. Należy ona do Lwowa, jak drzewo należy do ziemi i nieba. Należy do domu, który nazywa się „na Zaświeciu“, a stoi na górze, blisko gwiazd. Chodzi się tam wąskim, krętym, kamiennym wąwozem. Ten wąwóz pnie się stromą spadziścią — zapamiętaną jeszcze tylko z miast włoskich — która prowadzi do otwartego nieba i zachwyty. Po prawej stronie, w zielonym wgłębieniu ciszy zostaje Ossolineum, pełne książek i duchów. U szczytu, w tle, czerwieni się głośna jeszcze austriacka Cytadela, aby w tym podniebnym świetle nie było zbyt sielankowo.

Treść domu „na Zaświeciu“ zbierająca się, destylująca się latami — była bogata i złożona. Tworzyła ją rodzina, jedna z tych, które przez pokolenia pomażały kulturę Lwowa, pogłębiały jego polską samowiedzę. Ojciec, Wacław Wolski, odkrywca małopolskich pól naftowych, znakomity teoretyk techniki wiertniczej, wnosił w jego ściany szlachetną trzeźwość, dającą poczucie panowania nad życiem. Z matką, Marylą, weszła tam poetycka zaduma, cierpliwa miłość słowa, która w „Symfonii jesiennej“ (1901), wydanej na zetknięciu stuleci, stworzyła utwór powszechnie uznany za jedno z najbardziej sugestywnych dzieł czasu — i po latach, już za naszej pamięci, zbiór „Dzbanek malin“ (1919), niespodziane objawienie poetyckie, przedziwne dojrzałe, klarowne, nasycone gorzką mądrością życia i trudną mądrością sztuki. Żył w domu rodzinnym Beaty Obertyńskiej, przez babkę Wandę Monné, rzewną Egerię grottgrowskich rysunków, patetyczny romantyzm i tuż obok — realizm Stanisława Szczepanowskiego, autora „Nędzy Galicji“ i „Idei polskiej“, przyniesiony na tę uroczną ziemię ze szkoły angielskiej. Sąsiedowały „na Zaświeciu“ tradycjonalizm i spręż z żywą rzeczywistością, obowiązkowe poczucie humoru i egzaltacja, która w r. 1918 kazała staremu panu Wolskiemu wziąć do ręki karabin. Przez bliskość nieba i zieleni graniczyły w tym domu na lwowski, dawny sposób — miasto i wieś.

Może to sprawiło, że poezja Obertyńskiej jest regionalna, ale nie w zwykłym znaczeniu słowa. Jest to regionalizm bez etykiety, bez nomenklatury geograficznej, natrętnej, orbisowej, czy baedekerowskiej pedanterii. Regionalizm jakby wewnętrzny, poufny: nie nazw, ale rzeczy; nie pojęć, nie wyobrażeń o nich, ale ich dotykane, zmysłowego, niepowtarzalnego kształtu. Jest w tej poezji zapamiętany na zawsze, oddech ziemi lwowskiej, kolor jej nieba niezapomniany, do śmierci. Są rzeczy nie nazwane, rzeczy, które nazwać może tylko poezja. Bo od tego jest.

W takiej samej mierze sztuka Obertyńskiej wydaje się tradycjonalna, związana nie tylko z poezją matki, ale poezją czerwono-ruskiego regionu. Można wykreślić zadziwiająco prostą linię od jej wierszowania do siedemnastowiecznej poezji Simonidesa i obu braci Zimorowiczów, mieszczan lwowskich, którzy rozumieli, kochali przyrodę, aspirowali do niej, jak do szlachectwa. Posłuchajmy, jak brzmi to dalekie echo, nim zabrzni głos żywy.

Mówi Szymon Zimorowicz w „Roksolankach“:

„Kochaneczku, mój kwiateczku milszy nad róże,

Sama wdzięczność twoja miła,
Serce moje zniewoliła,
ja nie wiem czemu“

A u Simonidesa:

„Sroczka krzeczce na płocie: będą gości nowi.
Sroczka czasem myli, czasem prawdę powie“.

Wracają te tony bezwiednie, a w nieuchronnie nowym, niewątpliwie nowoczesnym zbrataniu u Obertyńskiej. Reprezentuje ona tradycję polskiej poezji czarnołoskiej, ziemiańskiej. Rozumiem przez to nie poezję „landlordowską“, ale poezję rosnącą z intymnego współżycia z ziemią i jej sprawami. Dochodzi

w niej do głosu postawa już prawie zabytkowa — prosta, spontaniczna, bezrefleksyjna radość współtistnienia z przyrodą i druga — zmysłowa miłość natury, jako materialnej, dotykanej piękności. Określił ją ścisłe Wordsworth, choć rzadko ją sam osiągał:

„...A feeling and a love
That had no need of remoter charm
By thought supplied, nor interest
Unborrowed from the eye“.

(„Lines written about Tintern Abbey“).

Myślę, że poezja Obertyńskiej byłaby dobrze zrozumiana w Anglii. W jej literaturze, jak w jej malarstwie, przyroda zajmuje tyle samo, może więcej miejsca, niż człowiek. A John Keats wiela namiętne uniesienie wobec widzialnego obrazu świata i jego barwy, zapachu i kształtu, jak niewielu poetów Europy.

I dla Obertyńskiej świat żywy nie jest potwierdzeniem praw moralnych, jak dla Wordswortha, nie jest odbiciem piękności nieziemskiej i zaziemskiej, jak dla Shelley'a, ale jak dla Keatsa jest urodą samą w sobie. Jej poetyckie studium przyrody, siła spostrzegania, ma jeden rys szczególny: głęboką ufnosć, domowość, powszedniość. Wiele jej utworów technicznie jakby biologicznym ciepłem: są one szorstkie, puszyste, kostropate, gładkie jak owoce, jak zwierzęta, dźwięczą pod powierzchnią słów tajemniczą muzyką życia, materialnego obiegu krwi, rosnących i dzielących się komórek. I nie żywioł muzyczny, nie malarzkość, ale przede wszystkim — sensacja dotykania żywego, pulsującego, promieniającego kształtu wydaje się istotą tej poezji.

Zasięg magii poetyckiej ogarnia u Obertyńskiej każdy, najdrobniejszy szczegół widzialnego świata. Stąd jest to poezja ożywionych przedmiotów codziennej powszedniości. Stąd jest to poezja, powiedziałabym, gospodarskiego realizmu. Nie tylko gitara, czuła towarzysząca ludzi i czasów, w tomie subtelnej, elokwencyjnej prozy: „Gitara i tamci“ (1925), ale i rzeczy, tzw. niepoetyczne, obojętne, niedostrzegane, które nas ciasno otaczają, które wkraczają w każdą chwilę naszego życia i dzielą ją z nami — są tu dopuszczone do radosnej wspólnoty, do uczuciowej solidarności z człowiekiem. I zwierzęta tzw. „niepoetyczne“, trywialna fauna wiejskiego podwórza, wchodzi przez wiersze Obertyńskiej do poezji na równych prawach ze słowikiem, o którym już Szymon Zimorowicz mówi, że „gdy zorza zawita, gardłeczkiem ranem młodą wiosnę wita...“ Ten realizm poetycki jest rzadki w naszej literaturze wielkiej idei, wielkiego patosu, wielkiego gestu. Po jego przykłady trzeba sięgać aż do „Pana Tadeusza“ i nie łatwo je znaleźć poza nim gdzie indziej. I ten idealistyczny realizm byłbym skłonny uważać za szczególnie walor Obertyńskiej.

Niekiedy wyobraźniowe wzbogacenie rzeczywistości otwiera drogę do baśni, która jest przeciw snem o życiu. Ale i sen u tej poetki zdaje się gesto nabyty materia dotykanej egzystencji, i sen nie wychodzi poza granice rzeczywistości dnia i życia powszedniego. Echo jest dla niej dzieckiem klaskającym w dłonie, a koziołko, stwór-dziw leśnej pogody, zwierzkami łatwym chyba do oswojenia.

Z tym wszystkim jest to poezja prawie bezosobowa. Obertyńskiej ważniejsze, niż ona sama, wydaje się to, co się dzieje wokół niej. Tony osobiste, prywatne, są rzadkie, wstydliwe, zatajone szyfrem pół-uśmiechu, pół-słowa, pół-drwiny, w ogóle dla całości stosunkowo mało ważne. To ją przysposobiło do tworzenia liryki opisowej, opowiadającej, która w naszych czasach jest zjawiskiem niezmiernie rzadkim. Jak wierszopis starego pokroju szuka pobudek na zewnątrz siebie: chętniej pisze „Kalendarz“, niż prywatne zwierzenie, usiłując uchwycić odrębność miesięcy roku, a nie subiektywnych wzruszeń. Z tego źródła wyszedł poemat „O braciach Mroźnych“ (1930), w którym święci żyją, czują na ludzki sposób i są bohaterami wiekustego misterium przyrody. Jak inne zbiory Obertyńskiej: „Pszczółki w słoneczniku“ (1926), „Głóg przydrożny“ (1932), „Klonowe motyle“ (1932) i ten „Sen kalendarzowy“, wydany w trzystu egzemplarzach — jest utworem praktycznie nieznanym. Będzie dziś, w ciągu piętnastu lat swego życia, odtworzony publicznie po raz drugi.

I to także wydaje się rysem znamiennym osobowości Obertyńskiej — ta niewielka trośka o rozgłos, jakby tworzenie poezji dla niej samej. Wiedzie się to chyba stąd, że jest to poezja szczęśliwa, pogodzona i godząca z życiem. Chciałby może kto poprawić: była. Można myśleć, że tę korektę chciał przeprowadzić sam los, który w czasie tej wojny zapędził Obertyńską aż pod drugi krąg polarny. Ale ta poezja jest ciągle i będzie i zostanie szczęśliwa, bo taka jest.

Pozdrawiam w jej słowie mój kraj lat dzieciennych, ziemię, w której leży moja matka, świat, który ze mną rośnie, który noszę ze sobą po obcych drogach ziemi. Nie można go wydrzeć z pamięci i nie można go odjąć miłości. Nie można go odjąć poezji, bo ona jest pamięcią natchnioną przez miłość, miłością przedłużoną przez pamięć.

A czego nie da się odebrać poezji, tego nie można odebrać życiu.

Tymon Terlecki.

W NASTĘPNYM NUMERZE

„W D R O D Z E“

UKAŻĄ SIĘ MIĘDZY INNYMI NASTĘPUJĄCE UTWORY I ARTYKUŁY :

Wład. Broniewski	— Wiersze
Zdz. Broncel	— Nowy, ale czy wspaniały świat?
Por. Herbert	— Dowód niezbity (nowela)
Ign. Kleczyński	— Reportaże z Włoch
Stan. Łukas	— Levant i Middle East
J. Larren-Lenczowski	— Penetracja amerykańska
W. Weintraub	— List z Londynu

oraz Polonica w książkach angielskich, dalszy ciąg powieści M. Kuncewiczowej „Zmowa nieobecnych“, Opinie angielskie, Sprawy francuskie, Przegląd polityczny, recenzje z książek i wiele innych.

DAWID LAZER

CHRAPUSTA

Syn chłopski spod Tarnowa — poetą hebrajskim

Autorowi „Księdza Ułasa” Ksaweremu Pruszyńskiemu, który historię tę o Chrapuscie o ileż lepiej by opowiedział.

Największy poeta hebrajski Ch. N. Bialik był w Polsce po raz ostatni późną jesienią 1931. Objechał kilkadziesiąt miast i miasteczek, zwiedził wszystkie większe skupienia żydowskie, wygłosił szereg odczytów literackich, odbył niezliczoną ilość spotkań z pisarzami, ludźmi nauki, sztuki, kultury, wizytował szkoły hebrajskie, nasłuchiwał się mnóstwa przemówień na bankietach i przyjęciach urządzanych na jego cześć (m. in. zarząd Penclubu polskiego podejmował poetę), zwiedzał ważniejsze zabytki historyczne, entuzjastomował się Wilnem i Krakowem, zachwycony był wielickimi salinami, kiedy jednak opuszczał Polskę po parutygodniowym pobycie, zapytany przez jednego z dziennikarzy warszawskich, co na nim największe wrażenie wywarło, odpowiedział:

— „Z tego wszystkiego co w Polsce widziałem, największym przeżyciem dla mnie było spotkanie moje w Krakowie z Polakiem-hebraistą Władysławem Chrapustą. Hebrajszczyzna jego jest po prostu zachwycająca i ożywcza dla duszy. Już pierwsze jego słowa, wypowiedziane w mojej obecności na zebraniu hebraistów w Krakowie, wzruszyły mnie do głębi. Zyczyłbym sobie, ażeby więcej było takich jak on wśród nas z e j młodzieży — żydowskiej”.

Owo zebranie w Krakowie, na którym po raz pierwszy ujrzałem Chrapustę, mam dotąd żywo przed oczyma. Było sobotnie popołudnie, takie właśnie, jakiemu Bialik starał się w ostatnich latach życia nadać szczególną treść duchową. Pomyślano to było jako próba oderwania się od spraw powszednich, od codziennych trosk i zajęć, od doczesności samej, by przenieść się w regiony ducha, w nastrojów odświętny, oparty na tradycji ojców. Z inicjatywy Bialika powstała swego czasu w Palestynie instytucja specjalna, poświęcona właśnie wskrzeszeniu tradycji sobotnich popołudni („Oneg Szabbat”), znalazł się też mecenas, który ufundował w Tel-Awivie budynek przeznaczony specjalnie na zebrania sobotnie, odczyty, pogadanki i tym podobne imprezy.

Atmosfera tedy sobotniego popołudnia, w takim pojęciu jakie mu uświatał nadać Bialik, panowała na owym zebraniu krakowskim w dużej sali żydowskiego domu akademickiego. Świąteł nie zapalono jeszcze, nie tyle może dlatego, że w sobotę świąteł zapalać nie wolno, ile, by nie psuć nastrojów, — i wśród jesiennej mroku po ciemku niemal, wypowiedział Bialik z humorem i wdziękiem literacką gawędę, która oczywiście wywołała zachwyt powszechny. Po czym zapalono świąteł i zaczęła się druga część zebrania, bardziej już doczesna, choć niezupełnie. Chodziło o propagandę hebrajskiej książki. Korzystając z pobytu znakomitego poetę, który zarazem był współwłaścicielem wielkiego wydawnictwa książki, postanowiono zorganizować akcję, mającą na celu zwerbowanie stałych subskrybentów książki hebrajskiej, którzy za miesięczną opłatą otrzymywali będą pewną ilość najnowszych publikacji. Na ten temat był specjalny referat, była też nieodzowna dyskusja, która wlokła się dość ociężała i nieciekawie — po prostu zaczynało być nudnawo. Zgłaszali się na ochotnika subskrybenci, wywoływani przez przewodniczącego zebrania, zamawiano książki, deklarowano sumy pieniężne, słowem — nuda przerażała.

Sala ożywiła się dopiero, kiedy przewodniczący zebrania oznajmił, że głos ma teraz „adon Chrapusta”. Ten i ów znał już to nazwisko, wtajemniczeni widzieli, że jest to znakomity hebraista — Polak z krwi i kości, byli jednak tacy, którym nazwisko to było obce, nieznane, egzotyczne niemal w tym środowisku. Sam Bialik, który znużony widocznie zebraniem, dość często dyskretnie ziewał, teraz ożywił się nagle. Nie wiedział nic o Chrapuscie. — Chrapusta? Polak? — Czegoż on tu chce na zebraniu miłośników literatury hebrajskiej? Co ma do powiedzenia, i po jakiemu przemówi na tym czysto hebrajskim zebraniu?

Lecz oto sam mówca stanął już na podium — niski, z głową ostrzyżoną przy skórze i zadartym nosem, typowy syn chłopski — i pokłoniwszy się przed Bialikiem, powiedział właściwie jedno tylko zdanie, rzecz jasna, najczystsza hebrajszczyzna, ale to taka, która w podziw wprawiła i poetę samego i wszystkich zebranych. Zdanie wypowiedziane było nie tylko świetnie. Powiedziane było tak, jak właściwie nikt dzisiaj po hebrajsku nie mówi. Ksawery Pruszyński, gdyby się znał na tym, powiedziałaby, że była to hebrajszczyzna — „poprawna, może zanadto poprawna; lśniąca gramatyka, niczym drzwi świeżo malowane błyszczą od nieobeschłej farby”.

Zdanie wypowiedziane przez Władysława Chrapustę lśniło nie tylko gramatyką; lśniło Biblią w oryginale, lśniło przede wszystkim świeżością, niespodziewanym ujęciem, zrozumiałym i możliwym do odczucia tylko dla wprawna stylisty hebrajskiego. Tak nie mówią ani gimnazjaliści hebrajscy w Tel-Awivie czy w Jerozolimie, ani w ogóle „sabby”. Tak mówi tylko człowiek uczony w piśmie, który mimo gruntownego znawstwa mało co

miał dotąd sposobności porozumiewania się danym językiem. To tak, jak gdyby ktoś nie znał, lub jak ów sienkiewiczowski osadnik z Maripozy — zapomniał żywego języka polskiego i posługiwał się wyłącznie polszczyzną Biblii ks. Wujka. Najczystsza tedy hebrajszczyzną biblijną oświadczył wówczas Chrapusta:

— Lubo z pnia izraelskiego nie jestem, przedsię niechaj imienia mego nie braknie wśród wpisanych...

Tak można by od biedy stylem biblijnym polskim oddać zdanie wypowiedziane po hebrajsku przez Chrapustę na owym zebraniu w Krakowie. Czyż można się więc dziwić, że takie wrażenie wywarło na Bialiku? Czyż można się dziwić, że nawiązał się od tej chwili dość ścisły kontakt znakomitego poetę ze skromnym synem chłopskim, który nad wyraz trudny dla obcego język hebrajski opanował znakomicie. Bialik zaprosił Chrapustę do siebie, a po wyjeździe z Polski pozostawał z nim w kontakcie listowym. Zaczął też Chrapusta z zachęty Bialika tłumaczyć na język polski niektóre utwory poetę pisane prozą, głównie legendy biblijne, tłumaczył wyjątkowo świetnie, z doskonałym wyczuć ducha obu języków. Szczególnie przekład „Legendy trzech i czterech”, który pojawił się w odcinkach na łamach krakowskiego „Nowego Dziennika”, wywołał powszechny zachwyt znawców literatury hebrajskiej.

Nazajutrz po owym zebraniu spotkaliśmy się z Władysławem Chrapustą w jednej z krakowskich kawiarni na Rynek główny i odtąd pozostawaliśmy już w stosunkach dość bliskich. Rozmowa toczyła się po hebrajsku. Przy „małej czarnej” opowiedział mi Chrapusta dzieje swego życia. Pochodzi ze wsi pod Tarnowem, z rodziny małego chłopca. W domu panowała bieda, dzieciaków sporo, na naukę pieniędzy nie było, młody Władek zaś garnał się do książek. Przedsiębiorczy chłopak wiejski zdaje się na los boży: ucieka z domu do Tarnowa. Z trudem zarabia na utrzymanie pracą fizyczną, a po nocach uczy się gorliwie. Wkuwa kurs gimnazjalny, dziwnym trafem jednak pociąga go najbardziej — stenografia. W tym widzi swą karierę i przyszłość, osiąga też znaczną biegłość, z biegiem czasu nawet zdobywa jakiejś stenograficzne rekordy. Zdaje się, że redaguje nawet jakieś fachowe pismo dla stenografów, odbijane na powielacz.

Nadechodzi rok 1914. Wojna. Chrapusta jest w sam raz właśnie w wieku poborowym i przywdziewa mundur austriackiego landsturmisty. W pewnym momencie jest z oddziałem swym we Lwowie, skąd wyruszyć ma na front. Przed odjazdem kompani zachodzi Chrapusta, już w mundurze polowym, do jednego z antykwariuszy lwowskich, chcąc wybrać sobie parę książek na drogę. Traf zrzęda, że wpada mu do ręki polski podręcznik nauki języka hebrajskiego. Przygląda się od niechcenia hebrajskim literom, i — jak to po wielu latach opowiadał — „urzekł go” nieznanemu mu dotąd znak pisma hebrajskiego po prostu już swoim wyglądem, swoim „krojem”. Chrapusta kupuje ów podręcznik, który towarzyszy mu potem w całej tułaczce żołnierskiej. Dopiero kiedy znajduje się na froncie włoskim, gdzieś na śnieżnych szczytach Dolomitów, gdzie, jako stenograf, jest w służbie łączności przy obsłudze radiotelegrafu — dobywa książki z tornistra. Z łatwością opanowuje alfabet hebrajski i sztukę czytania i pisania — na więcej narazie nie starczy możliwości ani czasu. Ale wzbudzone raz zamiłowanie nie gaśnie. Po zdembolizowaniu wraca Chrapusta do kraju i w Krakowie zarabia na życie stenografią. Ale równocześnie u najlepszego pedagoga hebrajskiego uczy się z zapałem gramatyki i języka hebrajskiego. Czyni doskonałe postępy mimo wielkich trudności, jakich

nastręcza język semicki o tak odmiennej zupełnie strukturze niż język polski, — i z wolna, po latach studiów, dochodzi do takiej wprawy, że może swobodnie mówić po hebrajsku i czytać starą i nową literaturę hebrajską. Właśnie w czasie naszego spotkania recytował Chrapusta z przejęciem początek wielkiego poematu Szeura o Wilnie, po czym przeszedł do innych utworów poetyckich, które znał na pamięć.

Przy tym, obok zamiłowania do języka hebrajskiego, miał Chrapusta i inną jeszcze pasję. Skupował książki hebrajskie. Wszystkie skromne dość oszczędności szły na ten cel. Związczą kiedy jako znakomity stenograf objął w „Ilustrowanym Kurjerze Codziennym” dobrze płatną posadę telefonisty i odbieracza radia, księgozbiór jego hebrajski powiększał się szybko, mogąc rywalizować z biblioteką niejednego wytrawnego hebraisty. Wspaniała kolekcja wszelkiego rodzaju starszych i nowszych słowników, nieraz wielotomowych (m. in. Thesaurus Totius Hebraicae Linguae), encyklopedii, starych konkordancji biblijnych, komplety czasopism literackich, wreszcie klasyczne dzieła starszej i nowszej literatury były chlubą i dumą zapalonego hebraisty-Polaka, który ten swój, z dużym trudem i wielkim nakładem kosztów zdobyty, księgozbiór otaczał jak najtroskliwszą pieczą. Księgarze na Kazimierzu i Stradomiu znali i cenili Chrapustę: był ich najwiewniejszym, najlepszym klientem. Żadnych innych uciech nie uznawał, żył jak asceta. Każdy zbędny grosz szedł na książki, głównie na książki hebrajskie, choć oczywiście i polskich zakupywał sporo. Skromne mieszkanie jego przy ul. Szulskiego w Krakowie nie miało prawie żadnych innych mebli, poza półkami na książki. Gdy miejsca nie starczyło, układał Chrapusta książki swoje w przedpokoju, w skrzyniach. Ogółem zebrał do wybuchu wojny ponad pięć tysięcy tomów.

Zrazu dla ćwiczenia, z czasem zaś już z czystego zamiłowania, zabrał się Chrapusta do tłumaczenia na język polski szeregu cenniejszych utworów literatury hebrajskiej. Tłumaczy przede wszystkim prozę, przy czym najbardziej odpowiadał mu pisane biblijnym stylem legendy Frizmmana i Bialika. Ale i poezja pociąga go z biegiem czasu. Natchniony patos prorocy poematów palestyńskich Uri Cwi Grinberga odnajduje w Chrapuscie znakomitego odtwórcę na język Kasprowicza i Żeromskiego. Planuje nawet Chrapusta wydanie tomu przekładów żarliwego piewcy wskrzeszenia królestwa „trzeciej świątyni”, jakim jest U. C. Grinberg, poeta młodo-hebrajski, który Chrapuscie najbardziej przypadł do gustu.

Ale to nie wszystko. Obcowanie z nową poezją hebrajską nie przeszło bez śladu na psychice artysty-tłumacza. Nagle zaczyna Chrapusta sam pisać wiersze — po hebrajsku! Pierwsze próby są jeszcze nieśmiałe i językowo dość niezaradne, ale dalsze już nabierają życia i poetyckiego wyrazu — są godne druku. Jakoż w wydawanym we Lwowie miesięczniku literackim „Hassolel” pojawiają się pierwsze oryginalne utwory poetyckie niecodziennego gościa na hebrajskim Parnasie — prostego syna chłopskiego ze wsi pod Tarnowem, Władysława Chrapusty. W jednym z poematów opisywał Chrapusta swą pracę w redakcji wielkiego dziennika: jak to w Pałacu Prasy, gdzieś na najwyższym szczyście wieży (Bogiem a prawdą było to na dachu „Ikacowego” budynku) siedzi poeta przy aparacie radiowym, i przy szumie linotypów i maszyn rotacyjnych, wychwytuje z fal eteru wiadomości, natężając słuch, czy pokój zapanuje na ziemi, czy też zagłada grozi światu. Debiut poetycki Chrapusty wywołał duże wrażenie. Kilkakrotnie był zapraszany niezwykle debiutem na wieczory literackie, na których recy-

tował swe wiersze hebrajskie. Od pierwszego znanego z nazwiska poetę polskiego Władysława z Gielniowa aż do — Władysława Chrapusty ze wsi pod Tarnowem, nie było, zdaje się, poetę-Polaka, który by „swych myśli przędę i swych uczuć kwiaty” wyrażał mową związaną hebrajską, choć w epoce humanizmu byli Polacy, którzy znali język hebrajski. Chrapusta był zapewne jedynym w swoim rodzaju unikatem.

Tu drobna, lecz konieczna dygresja. Literatura hebrajska zna nieliczne wypadki, kiedy ludzie obcych narodowości o skłonnościach poetyckich opanowywali język hebrajski i pisali w tym języku oryginalne utwory poetyckie. W naszych czasach młoda Rosjanka Elżbieta Żurkowa, nauczysz się języka hebrajskiego, zaczęła w Moskwie od tłumaczeń z zakresu literatury hebrajskiej na język rosyjski, po czym przeszła na judaizm i wyemigrowała do Palestyny, gdzie dotąd pod pseudonimem „Eliszewa” zajmuje miejsce dość wybitne w młodej poezji hebrajskiej, a także w krytyce literackiej. Otóż w przeciwieństwie do Żurkowej-Eliszewy, Chrapusta nie miał w sobie ani krzty jakiegos „judaizantstwa”. Był wierzącym katolikiem, i nie zdarzyło się jeszcze nigdy, by przechodząc obok jednego z licznych kościołów krakowskich, nie zdążył nabożnie kapelusza. Owszem, interesował się ruchem syjonistycznym i Palestyną, marzył nawet o zwiedzeniu Ziemi Świętej, okazywał duże zrozumienie dla niedoli żydowskiej i oburzają go do żywego wszelkie przejawy nietolerancji i antysemityzmu, — pozostał jednak tym czym był: wiernym synem chłopskim, głęboko wierzącym i praktykującym katolikiem. Polszczyzna zaś jego trąciła najczystsza, soczystą gwarą małopolską. Przeskoki, które czynił niekiedy w rozmowie — z języka proroków izraelskich do podtarnowskiej gwary, miały w sobie, drogą kontrastu, jakiś swoisty i wyrafinowany, powiedziałbym po prostu — perwersyjny urok lingwistyczny.

Na dachu „Pałacu Prasy” siadywał Chrapusta godzinami w swojej ciasnej kabinie radiotelegrafisty, wychwytując wiadomości z fal eteru, z wszystkich możliwych radiostacji świata, a nawet z tajemniczych sygnałów Morse’a. Depesze jego, sygnowane znakiem (ch) można było czytać w każdym numerze „Ikaca” — jako „specjalna służba radiotelegraficzna”. Z słuchawkami na uszach w słuchawki, znał wszystkie szyfry i „kody”, wiedział, jakie niebezpieczeństwa grożą radiotelegrafistom prasowemu ze strony wielkich światowych agencji telegraficznych, nadających przez radio serwis wiadomości dla swoich stałych abonentów oraz specjalnie spreparowane „kaczki” dla pogrążenia nieabonentów-radio-pajęczarzy. Nade wszystko jednak, jak to opisywał we wspomnianym poemacie hebrajskim, natężył słuch, „czy pokój zapanuje na ziemi, czy też zagłada grozi światu”.

Groziła zagłada. W czwartek po południu, w przeddzień wybuchu wojny, zadzwonił nagle telefon w mieszkaniu. Szybko i dość nerwowo, jak zwykle, mówił Chrapusta — po hebrajsku. Doniósł, że znajduje się na placu Groble w pobliskim gimnazjum Nowodworskiego (dawniej św. Anny), zamienionym teraz na koszar. Jest zmobilizowany i jutro zapewne wyruszy na front. Ponieważ nikogo już nie wypuszczają z koszar, prosił, bym przyszedł odebrać jego walizę z rzeczami, po którą zgłosi się ktoś wieczorem.

Pobiegłem natychmiast. Chrapusta stał w bramie w polowym mundurze, w nowych juchtowych butach z cholewami, był poważny i skupiony. Zdołał powiedzieć mi tylko, że prawdopodobnie jeszcze w ciągu nocy wyruszy w kierunku granicy słowackiej. „Może pełnić będę służbę frontową w Tatrach, tak jak za tamtej wojny — w Dolomitach”.

Wieczorem, gdy siedział się już przy oknach zasłoniętych szczerlnie czarnym papierem z poprzyklejnymi na ukos paskami płótna, zjawił się jednak Chrapusta, wydępiwszy jakimś cudem przepustkę. Był zrównoważony i opanowany. „No cóż, wojna to wojna. Nie mam nikogo na świecie i żadnego niepokoju nie czuję. Przynajmniej wiem teraz o co się biję — i z kim”.

Jedną miał tylko troskę: książki. „Prosiłem sąsiadów — mówił nerwowo — żeby spakowali wszystko do skrzyń, i myślę, że nic złego się książkom nie stanie. Ale trudno pogodzić mi się z tym, że ja sam już tym się nie zajmę, i że te wszystkie książki, z takim trudem pozbierane, będą się gdzieś może tułać po ludziach, czyż nie obce ręce, nieznające wartości tych skarbów, będą się tym zajmowały i nawet przy pakowaniu nie będą”.

Jedną książkę przecież, okazało się, uratował — miniaturowe wydanie psalterza Dawidowego w oryginale hebrajskim. Miał książeczkę tę przy sobie w kieszeni munduru. Mówił, że z tym jednym się nie rozstanie.

W niedzielę, 3 września wieczorem, opuściłem Kraków. Władysława Chrapusty więcej już nie widziałem, nie dał też dotąd znaku życia. I nie wiem, czy miniaturowy psalterzyk, zabrany jako talizman na drogę, uratował go przynajmniej od „światowej zagłady”.

David Lazer.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

NOCNA MODLITWA

Dusze, jeśliście żywe,
Zbuntujcie się,
Serca, jeśli bijecie,
Zbuntujcie się,
Ludzie, którzyście ludźmi,
Stańcie w okopach
Ziemskich i świętych —

Rozpaczcie oblakana,
Nie zabijaj nas,
Silo opoki wiecznej,
Nie omijaj nas,
Wiarno, lasko uczynna,
Daj nam wytrwanie,
Broń nieugiętych.

Krzyż z Boga odarte,
Dźwignijcie nas,
Prawdy kłamstwem pobite,
Pomścijcie nas,
Ognie na górze Synaj,
Z pod waszych znaków
Miecz nasz, obrońca —

Matki, któreście kiedyś
Rodziły nas,
Ziemie, któreście kiedyś
Karmiły nas,
Niebo nad Wisłą, daj nam
Sprawie jedynę
Służyć do końca.

Na żołnierzy za kraj nasz
Bijących się,
Na żołnierzy w podziemiach
Kryjących się,
Na wszystkich wiernych Polsce
W walce i śmierci
A bez pomocy —

Słowem bożem i ludzkim
Zaklinajmy się,
Kościołom wujującym
Przebijamy się
Poprzez mrok najciemniejszy
W światło ogromne
Za murem nocy.

MARIA KUNCEWICZOWA

ZMOWA NIEOBECNYCH

ROZDZIAŁ V *)

Karol w wysokich butach gumowych i z kołnierzem od kurtki podniesionym czapał po błocie w ślad za Daphne od chlewu do chlewu. „Chodźmy do domu — namawiał — co tu masz właściwie więcej do roboty? — „Oh, Charlie, nie bądź taki niecierpliwy”. Płaską łopatą studziła odwar kartoflany, odgarniając jednocześnie włosy z czoła, które para skręcała w drobne loczki. Wymieszawszy należycie, chwyciła ceber muskularnymi dłońmi, u-niosła bez śladu wysiłku i wylała zawartość do koryta. Dwie czarno-białe maciory z Yorkshire, obspane żarłocznym potomstwem, dennerowały się w dwóch zagrodach. Uwolniła je od rodzinnych napaści i samotne puściła przed koryto. Dopiero kiedy ekstaza chrząkań i mlaskań napełniła chlew, wyprostowała się i zebrała spinką rozsypane włosy. Mimo breeches'ów, swetra i koszuli z krawatem, odpowiadała imieniu nimfy, z tą wszakże korekturą, że postać jej nadawała się raczej do przemiany w cyprys, niż w krępe drzewko laurowe. Długonoga, wąska w biodrach, miała wielkie oczy koloru rzek w dzień beśloneczny, szeroko rozstawione, usta okragłe, jak u pannie Boticelego, owal twarzy bezkostny, nos niski i mnóstwo brązowych włosów. Istota o strukturze fizycznej niemal bezbłędnej, wydawała się tworem samowystarczalnym, nie wymagającym koordynacji z żadnymi tajemniczymi siłami, a także tworem niepodlegającym zepsuciu. „Czy ty się nigdy nie męczysz?” — pytał Karol. — „Dlaczego mam się męczyć?” — „Żeby choć raz w życiu mieć czerwony nos!” — „Poczekaj aż będę miała katar”. Przychodził katar — nos pozostawał porcelanowo biały. Oczywiście o kłóceniu się z Daphne nie mogło być mowy. Złośliwości ześlizgiwały się po niej, nie budząc echa.

Właścicielem farmy był Monsieur Budić, kupiec jugosłowiański, zaangażowany przed wojną w wielkie interesy z Anglią, obecnie, odcięty od kraju i od źródeł normalnego zarobku, bawiący się w agronoma pod Oxfordem. Na farmie przeważnie pracowali Rumuni, którym obrzydło kelnierstwo i zachodnie maniery, oraz paru Serbów, wyreklamowanych do pracy na roli z jego dawnych londyńskich biur. Daphne, jedyna land-girl w całym zespole, uważała swój przydział do tego właśnie gospodarstwa za jeden więcej dowód, że los chętnie daje napiwki tym, których usługi są niewątpliwie „konstruktywne”.

Daphne była córką rzemieślnika i nauczycielki w dużym mieście portowym. Siostry jej wychodziły za mąż za urzędników, brat był marynarzem. Żadnego z tych zajęć rodzinnych nie uważała za „konstruktywne”. Rzeźnictwo raziło jej powonienie, mimo że nie raził go nawóz. „Ja dużo w tym flaków... i pośrednictwa — mówiła. — Jatkę powinny być automatyczne, komunalne i daleko za miastem”. Nauczycielstwo takie, jakie uprawiała jej matka, „niszczyło w dzieciach miłość przyrody i człowieka”. Biurokrację uważała za wroga społeczeństwa Nr. 1 (Jatki w przyszłości miały być administrowane przez bezpłatnych delegatów gmin.) Przeciwnie marynarce nie miałyby nic, gdyby okrętów używano wyłącznie do celów pokojowych. W dniu kiedy została ogłoszona mobilizacja kobiet, oświadczyła, że żadna siła nie skłoni jej do pomagania wojsku chociażby przez pracę w szpitalach. Żadna również do wysługiwania się biurowym „mandarynom”. „Nie zapominaj, że otrzymałaś stypendium na studia uniwersyteckie — monitowała ją matka. — Skoro jesteś pacyfistką, czy czymś w tym rodzaju, zadeklaruj teraz po maturze, że masz „sprzeciw sumienia”, a pozwolę ci dalej się uczyć”. Potrząsnęła głową. „Sprzeciw sumienia mam nie po maturze, tylko odkąd zaczęłam patrzeć i myśleć. To nie byłoby fair”. Zapisała się do Land Army.

Na pierwszej farmie, w jednym z północnych hrabstw, traktowano ją opryskliwie i nie miała gdzie się myć. Pan domu w randze sierżanta piechoty wojował za morzem, gospodarzkę prowadził jego ojciec i żona. Kobieta była chorowita, co źle ją usposobiło do Daphne, stary nie wierzył, że dziewczyna w spodniach, paląca papierosy, mogła obchodzić się bez kradzieży, laził więc za nią wszędzie i chował pod klucz nawet części zamiennie traktoru. Troje wnuków dostawało w skórę regularnie w soboty, przy czym nie wolno im było krzyczeć, bo nie znosił hałasu. W tym szarym obejściu kamiennym, którego jedyną ozdobę stanowiła żółta papuga, byłaby jednak Daphne przetrwała wojnę, tak bardzo lubiła samotne godziny na traktorze, z wilgotnym wiatrem w oczy i z ruchliwymi płamami światła na wzgórzach. Ale stary zniecierliwał ją za to, że nie jej nie mógł zarzucić i, pod pretekstem ciężkiej roboty, wystarzał się o jeńców.

Następny pobyt wiejski zapowiadał się idealnie. Farma leżała w pięknej okolicy, dom miał pełny komfort, land-girl zatrudniano tylko przy centrifugach i kurnikach, właściciele — bezdzietna para w średnim wieku, prenumerowali dużo magazynów, jedzenie było świetne. Pan, zagazowany w poprzedniej wojnie, często wyjeżdżał do miasta po sprawunki; wracał objuczony paczkami, szercząc zapach brandy i niewymyślne dowcipy. Pani wkrótce przystąpiła do zwierzeń: pan brnął w długi. Tylko patrzeć, jak farma stanie się ciężarem, trzeba będzie ją sprzedać i żyć z inwalidzkiej renty. Ponieważ pan bez golfa i

brandy nie rozumiał istnienia, a o fach cywilny, będąc oficerem gwardii, nigdy się nie zatrosczył, przyszłość wyglądała ponuro. Wtajemniczywszy Daphne w sytuację, pani wycofała się, zostawiając ją samą z rozweselonym bon vivant'em. Pan puszczał z fajki coraz gęstsze kłęby dymu, usiłując patrzeć jak najmniej na górną część swetra młodej pomocnicy. Daphne uznała moment' za odpowiedni i wyłożyła mu swoją teorię o konstruktywnych zajęciach. „How very interesting” — rozczulił się, przy czym wzrok jego spoczywał na symetrycznych wypukłościach. Takich wieczorów było kilka i Daphne z niewyczerpaną słodyczą głosiła wiarę w odrodzenie przez kontakt z przyrodą. Krzyknęła dopiero kiedy inwalida, siedząc na poręczy jej fotela i coraz ciszej mrużąc „how interesting” położył obie ręce na jej piersiach. Nikt wszakże nie przybiegł na ratunek. Nazajutrz, trochę posiniaczona, ale ciągle „intacta”, postanowiła rozmówić się z nim w kancelarii. „Oh, darling, czyż trzeba być aż tak wymowną?” — zapytał.

— Przecież ta rzecz musi wcześniej czy później się zdarzyć. Jeszcze i wtenczas nie zrezygnowała z porozumienia. „Ależ pan jest dla mnie za stary” — wytłumaczyła z urazą. „Czy tak? A więc prawdopodobnie tak — pośpieszył się zgodzić. — Ja od początku myślałem, że nasza współpraca nie ułoży się dobrze”.

Monsieur Budić był zamożny i dni trawił w Londynie na popieraniu króla Piotra. Farma przy koniunkturze wojennej, sprytnie nakręconej przez właściciela, prosperowała sama. Madame była Greczynką, córką dyplomaty. Daphne na trzeci dzień po przyjeździe została przez nią narysowana raz kredką, raz węglem i nazwana „najdroższą przyjaciółką”. Starsza córka państwa przygotowywała się w St. Hilda's College do egzaminu P.P.E. (polityka, filozofia, ekonomika). Młodsza miała około siebie sztab guwernatek; ku wielkiemu żalowi matki każda wolną chwilę, zamiast szkować, spędzała na rowerze. Syn, o którym mówiło się ze łzami w oczach, walczył pod Michajłowem. W River Parku Daphne powzięła podejrzenie, że sens życia może nie zawsze pokrywa się z konstruktywnością.

W domu Budićów przedmioty niepotrzebne całkowicie przesłaniały potrzebne. Czas zaś był elementem nieujarzmionym, rozlewając się poza krawędź pór i godzin, żywiołem, który albo ustępował kompletnej nirwanie, albo szalał jak morze i przerażał ludzi niszczycielską potęgą. Rozmowy nie prowadziły tutaj do konkretnych celów, nie zaczynały się i nie kończyły w sposób wyraźny, nie podlegały prawu pytań i odpowiedzi. Uczucia nie stanowiły niczego sekretu. Do wyrażania ich używano ciągle mnóstwa różnorodnych, zupełnie nieoczekiwanych i bardzo głośnych słów, przy czym twarze i ciała prowadziły jakąś skomplikowaną grę, która czasami dodawała słowom wielkiego blasku, ale nierzadko przeczyła im całkowicie.

Mimo wszystko powyższe, Daphne nie czuła się przynębiona. Przeciwnie: nabrała poczucia własnej ważności, gdyż każda prawie minuta przynosiła problem, który należało rozwiązywać po raz pierwszy. Dawniej myślała o sobie mało i źle. Nauki w szkołach, za łatwe, nie interesowały jej, nie ceniła więc swoich tryumfów szkolnych. Urodę swoją znała, ale uważała za ciężar. Miłość nawet wzaajemna nie sprzyja współpracy — rozważała. — Ludzie, jeżeli się kochają, tym bardziej chcą sobie wzajemnie imponować, albo wzbudzać zazdrość, albo zadawać sobie cierpienia, żeby wypróbować, ile ta druga osoba potrafi znieść dla miłości. Czyż to jest konstruktywne? Gdyby była brzydka, prędzej znalazłabym rozsądnego partnera. Szkoda, że zamiast tych nóg i oczu, nie mam stu tysięcy funtów.

Dopiero w River Parku okazało się, że bez Daphne mnóstwo korzystnych rzeczy musiałoby pójść na marne. Np. wylegarnia kaczek, do której nikt nie miał cierpliwości. Albo morwy w żywopłocie, o których zapomniano. Albo wojna z mszycami. Ku zdumieniu Daphne Madame Budić posyłała ją na rozmówki do ogrodnika, bardzo ponurego Serba. „Jakże ja jemu sprawę wytłumaczę, kiedy on nie rozumie po angielsku?” — „Ach, ciebie on na pewno zrozumie. Ty jesteś taka ładna i zresztą jesteś Angielką”. Trzeba było tych obcych ludzi, niedbałych o odpowiednie porządki, mówiących co ślina na język przyniesie, żeby Daphne w 23-cim roku życia poznała, że być ładną i być Angielką przydaje się do codziennej „konstrukcji”. Ponieważ przy Daphne kaczka przestała zdychać, wszyscy na farmie orzekli: „Tylko Angielec mogło to przyżyć na myśl, że w kaczce są przeciagi”. Daniło nie rozumiał, jeżeli Monsieur Budić po serbsku rozkazywał mu kosić trawnik. Natomiast odgadywał ten sam rozkaz, zawarty w niepojętych cudzoziemskich słowach. Dlaczego? „Bo on się ciebie wystydzi” — stwierdzała niedbale Madame Budić.

Karol był kolegą oksfordzkim Zdenki. Którejś soboty jesienią przyjechał tu na week-end, jeszcze z czarną łatką na oku po ostatnim wypadku lotniczym i jeszcze w mundurze. Zdenka oprowadzała go po farmie, wyglądał zmęczony. Daphne zainteresowała się jego odznaczeniami. „On jest Polak — powiedziała Zdenka. — Ma za sobą 47 lotów bojowych. Dali mu roczny urlop i stypendium

British Council na dokończenie studiów. Będzie robił War Degree na tym samym wydziale co ja”. Szybko stał się jednym ze stałych gości week-endowych.

* * *

— „Zostaw już te prosiaki — naglił teraz. — Zaraz będzie lunch”.

Zapędziła więc maciory do zagród i poszli w stronę domu. Zabudowania gospodarcze były w większości prowizoryczne, gdyż Budić wprowadził wiele nowych działów najtańszym sposobem. Także i czystość obejścia nie była wzorowa wobec szczupłego personelu. Park zaś miał partie, dzikie z wysokimi, nigdy nie strzyżonymi trawami, gdzie gorzki zapach ziół stał w powietrzu nawet w dni zimowe. Głosy bydła i ptaków, przytłumione mgłą, zdawały się napływać z bardzo daleka, może aż z polskich wiosek. Niewielki manor-house w stylu Tudorów, obrośnięty bluszczem, ginął wpośród wysokich lip — i nie będąc „dworem” typowym, mógłby przecież doskonale świadczyć o ograniczonych gustach jakiegoś nadwiślańskiego „dziedzica”. Opodal ciągnęły się niskie, bielone oficyny, żywo przypominające „czworaki”. Mieszkała w nich ciągle jeszcze dość liczna służba Budićów — owi Rumuni i Serbowie, zatrudnieni pół na pół w polu i w „pałacu”. Ubrani raz w śnieżno białe krochmalone kurteczki, raz w robocze lachy, ogorzali czarnoocy mężczyźni uwijali się po ścieżkach; rankiem z tacami, później z łopatami. Przez uchylone drzwi oficyn widać było kobiety w chustkach zawiązanych pod brodę, krzątające się koło kuchni, albo w sieni, prasujące dworskie koronki i jedwabie. Najzabawniejsze wszakże były dzieci; zza każdego niemal krzaka wysuwała się figurka wysokości Tomcia Palucha, przyobleczone w uroczyste szaty. Madame Budić gorąco popierała folklor. Stąd kostiumy bośniackie, greckie, rumuńskie — w całej gamie wariantów i nieuniknionych modernizacji — na tych żywych lalkach. Ledwie miała Ileana w czarno haftowanej białej koszuli do pięt i w długim baranem kubraku wybiegła na trawnik, Daphne stanęła jak wryta, szukając w myśli o co by zapytać to niezwykle dziecko. Ileana zatrzymała się tak: „Ja chcę winogron ze szklarni”, — oświadczyła. — „Of course, darling” — zapewniła skwapliwie land girl — przyjdź tam po lunch, dam ci ładne gronko”.

Wesził z Karolem do hallu, który byłby mroczny, gdyby nie wesołe ceramiki bałkańskie, nie skrzynie malowane w kwiaty i nie woskowana posadzka. Potrząsnąwszy grzywą, Daphne szybko pobiegła na piętro. Karol skierował się do salonu.

Po chwili, zagłębiony w fotel, słuchając tykania niezliczonych antycznych zegarów na biurkach i konsolach, zapadł w pół-sen. Od czasu Rudzina żadne wnętrze nie wprowadzało go w taki błogostan. Tylko, że w Rudzinie rozkosz wynikała z radości fizycznej ustokrotnionej przez kroki przyjaciół w oddali, przez zmęczenie wodą i słońcem, przez głos Zuzi za ścianą, przez nadzieję na jeszcze wesele jutro i przez niezachwianą pewność, że główny los został już wygrany, skoro wszystko jest tak, jak jest.

W River Parku życie płynęło „po tamtej stronie”. Po zawałeniu się owego „wszystkiego”, które we wrześniu 1939 r. okazało się niczym. Króki, głosy, Wisła, nadzieje — tamto „wszystko” znikło. Ale i późniejszy tragiczny chaos: Francja, Anglia, 47 lotów bojowych, to także w Riverside nie istniało. Po czterech latach wojny, w drawing room'ie Budićów, Karol, choć ciągle jeszcze nieprawdziwy, ciągle wcielony w postać okolicznościową, nie podobną do rudzińskiego Karola, odnajdywał jakieś smaki, jakieś skurcze serca, jakieś przebliski świadomości, które przypominały „stare” szczęście. Wracało ono płochliwymi smugami, kiedy była cisza, polana trzaską na kominku, blask zapalał się i niki na wielkiej srebrnej ikonie, palisandry wydawały się sobie staroświecki i nieśmiertelny zapaszek dobrej polityki. Z głębi domu zaś dochodziły głosy obce, a przecież bez reszty wiadome: wysokie, nerwowe, błyskotliwe i efemeryczne głosy, którym timbre'u uczyła historia wschodniej Europy. Nigdy dawniej Karol nie myślał tak o ludzkich głosach. Ale teraz, „po wszystkim”, w tej właśnie formie świat do niego przychodził — nie przez zmysły i mięśnie, tylko przez mózg i przez wspomnienia.

„Drzemiesz?” — zapytała Madame Budić, wchodząc. Uśmiechnęła się czarnymi oczyma. Była Karolowi wdzięczna, że przygląwszy do rodziny, nie okazał się ani gburzem, ani nudziarzem, ani konkurentem do ręki córki. Nade wszystko zaś, że przy innych gościach — rzadszych i ważniejszych — podnosił dekoracyjność domu.

— Nie. Dobrze mi jest.

— Biedaczek! Tęsknisz pewnie... Powinienesz więcej mówić, być szczerszy! Pewnie też lotnicze koszmarny jeszcze cię przesładują. — Jak oko?

— Dziękuję, każą mi nosić monokl. To się doskonale składa, bo w Magdalen College Wilde'owskie szyki ciągle jeszcze są w modzie. — Ach, prawda, że jesteś w Magdalen...

No, to czegoś ty taki milczący? Oni się tam snobują na kontynent.

Karol nie wiedział, co odpowiedzieć. W Madame Budić było coś, co przypominało Zofię, a przez to rzeczy, o których mówić nie sposób. Na szczęście Zdenka wkroczyła, z nosem w książkę, zagryzając jabłko.

— Spójrz na tę lunatyczkę! — krzyknęła Madame. — Przecież ona zeza dostanie od takiego chodzenia we śnie.

Zdenka nie oderwała wzroku od stro-nicy. „Zeza dostaje się od zaglądania w cudze listy” — mruknęła. „Cudze listy! Przede wszystkim to było zaproszenie. Po drugie, jestem odpowiedzialna za twoje stosunki”. Zaczynała się jedna z kłótni, które stanowiły wdzięk farmy i nie przerażały nikogo oprócz Daphne. Niki, siostrzeniec Madame, a zarazem sekretarz jej męża, nadchodził, z daleka już uci-szając: „Calmez-vous, mes très belles! Shut up, darlings, lordowie podслушują”. — „Jacy lordowie?” — przeraziła się Madame. „Lord Kester między innymi”. — „Kto? Ach, Tony! Jak może Tony, taki mądry chłopiec, przyjaźnić się z takim idiotą”. Przyjaciół Nika, Tony Kester oblał się rumieńcem. Jego uczucia były tu nieustannie deptane, jednak nieprzeparta siła ciągnęła go do Riverside znowu i znowu... „Gdzie Daphne? Czy Piotr wraca dziś do Londynu?” — Piotr Budić nie wracał, natomiast Daphne, pięknie uczesana, siedziała już tam, gdzie zawsze, na kanapie pod oknem. „Chodź, jak nimfa, nigdy cię nie słysząc”. I wyniesiono się do jadalni.

* * *

Po lunch'u, przy kawie, Zdenka wszczęła namiętną dyskusję z Tonym o Jane Austen.

— Jakże chcecie wygrać pokój — piorunowała — jeśli wasi profesorowie apostołują nadal wśród młodzieży kult tej sielankowej mieszczańki, której horyzont myślowy nie wybiegał poza matrymonialne intrygi i przypadości żołądkowe starszych panów?! Na Boga! Przecież kobiety w epoce romantycznej miały coś więcej do roboty, niż wychodzić za mąż i pielegnować „kretyńskich tatusiów! Przecież wtenczas, jak i teraz, świat trząsł się w posadach! Rewolucje, dyktatury, niewola mas, głód nowego porządku — wszystko to było wtenczas i jest dzisiaj! Tymczasem „Emma” i „Mansfield Park” dotąd kwitną nie przestając.

— River Park także kwitnie, stwierdzam to z pociechą...

— Więc co z tego? Riverside jest wyspą na wyspie! Jest infiltracją kontynentu! Jest skrawkiem rzeczywistości w „Krainie Czarów”. I jeśli kwitnie, to wbrew „Emmie”, a nie dzięki niej.

— Nie jestem tak bardzo pewien, że wbrew niej, chociaż wcale nie lubię Jane Austen. Jako katolikowi brakuje mi w „Mansfield Park” powiewu mistycyzmu i bardziej zaczepnej postawy wobec zła. Ale przyznaję, że humor, pogoda, trzeźwość protestanckiej Angielki przyczyniły się w tym kraju do stworzenia klimatu, który umożliwił w nim życie cudzoziemcom, kiedy w ich własnych krajach szczyły się zniszczenie.

— Ależ nie szerzyłoby się zniszczenie, gdyby Anglicy byli właśnie mniej pogodni! Żeby umieli przewidywać katastrofy, żeby widzieli dalej swego nosa!

— Ach, nikt nie boleje bardziej nad angielską małodusznością niż Anglicy i nikt drożej za nią nie płaci...

— O, nie! Serbia drożej płaci! I Grecja! I Polska! Karolu, czemu milczysz? Gdyby Jovan tu był, on by wam powiedział, jak to rozkoszny humorek Jane Austen przyczynił się do złagodzenia klimatu w Belgradzie!

— Zostaw Jovana w spokoju — wtrąciła Madame Budić. — On nie po to codziennie śmierci w oczy zagłada, żebyś miała argumenty do akademickich dyskusji.

— Tut-tut! Quelles detestables manières — zgañił Niki. — Nie kłóćcie się, kto drożej płaci. Obawiam się, że prosiła Daphne, naszej uroczej pacyfistki, płacą najdrożej, bo Anglicy wskutek wojny zaczęli masami jadać kotlety wieprzowe. A jak ta zabawa dłuższej potrwa, zaczną jadać nawet robaczki świętojańskie. Czytałem dziś, że Niemcy wymyślili bomby raketowe, którymi będą strzelać na oślep do wszystkich krzaczków na tej wyspie. Ja jeden nie nie zapłacę, bo ja jeden mam odwagę uciekania i spod noża i spod bomb.

— A jednak dziwię się — Tony z trudem odrywał wzrok od dowcipnego Niki — że Karol nie zabiera głosu w tej rozmowie. Polacy są wszak specjalistami od romantyczności.

Karol drgnął. Mimo, że słyszał każde słowo, sens zdań nie dotykał go bezpośrednio. Od czasu ostatniej kraksy nad Francją, gęsta zasłona dzieliła go od świata. Ludzie naokoło śpieszyli, buchali namiętnością, umierali, albo sennie odrabiali codzienne zajęcia — wiedział o nich, ale nie poczuwał się do współodpowiedzialności. Do czego się poczuwał, to do żalu za Michałem, do kłótni z Monsieur Costot i do wdzięczności do Susanne. Michał pierwszy stwierdził, że smar wycieka i ostatni wyskoczył. Jak tylko wyszł spod obstrzału, zaczął coś mówić; zdążył ledwie tyle: „Słuchaj, kiedy wrócimy do Polski...” Potem już smar. I cała uwaga na silnikach i na śmigłach. Potem skanowanie. Co on chciał powiedzieć? Po zrzuconiu bomb nikt nie rozprawia na sentymentalne tematy. (D.c.m.)

*) Por. nr. 24 (42), 1 (43), 2 (44), 3 (45), 4 (46).

STOSUNKI POLSKO-SOWIECKIE

w oświeceniu amerykańskiego dziennikarza

Walter Duranty, znany dziennikarz amerykański, przez dziesięć lat był korespondentem „New York Times'a” w Moskwie. Przed pewnym czasem ukazała się jego nowa książka pt. „USSR“ (*). Daje ona obraz ewolucji Rosji od utopijnego komunizmu porowolucyjnego do normalnego bytu państwowego, z tą zasadniczą różnicą, że gospodarkę indywidualną zastąpiła gospodarka kolektywna.

Stosunkom polsko-rosyjskim poświęca Duranty nieco miejsca; stara się być obiektywny, nieraz jednak mija się z prawdą w sposób rażący.

Tak np. ze zrozumieniem odnosi się do faktu, że organizowana przez Trockiego w r. 1920 tzw. armia pracy, złożona z formalnie zdemobilizowanych żołnierzy armii czerwonej, wywołała „podejrzanie i wrogość Polaków, którzy głosili, że uważają to za sposób uniknięcia prawdziwej demobilizacji i przygotowania na nich ataku”, ale zaraz potem z m. y. śl. a, że na styczniową propozycję pokoju Polacy odpowiedzieli w końcu marca kontrpropozycją, domagając się granic z r. 1772, wielkiego odszkodowania w gotówce oraz Smoleńska jako „zabezpieczenia” (guarantee). Jak wiadomo, żądania Polski, gdy chodzi o granice wschodnie były bardzo umiarkowane — jeszcze w Rydze w r. 1921 bolszewicy ofiarowali Polsce więcej niż Polska wzięła.

Z uwagi autora o dążności gen. Wrangla do połączenia się z Polakami w czasie wojny domowej, czytelnik anglosaski mógłby powziąć mylne mniemanie o współdziałaniu Polski z kontrrewolucją rosyjską. Rzecz miała się wprost przeciwnie. W książce swojej „The White Army” (Londyn, 1930) gen. Denikin zaznacza, że Polacy unikali współpracy z białą armią, a w broszurze „Kto uratował władzę sowiecką od zagłady” (Paryż, 1937), wręcz oskarża Piłsudskiego o tajne porozumienie z Sowietami w sprawie zaprzestania działań wojennych na jesieni 1919 r., kiedy Sowiety były o krok od katastrofy. Według Denikina Piłsudski oświadczył, że nie chce by reakcja zwyciężyła w Rosji; w ten sposób Anglia i Francja, udzielając pomocy Polsce, nie wiedziały, że udzielają pomocy „popieczniczce bolszewików i bolszewizmu”. Podobnie E. G. von Wahl w broszurze „Jak Piłsudski zgubił Denikina” (Talin, 1938) twierdzi, że z chwilą objęcia przez Piłsudskiego władzy w Polsce, losy białych zostały przesądzone. Ze pokój ryski umożliwił bolszewikom zgnięcie Wrangla — jest rzeczą notorycznie wiadomą.

Kłeska Polaków w wyprawie kijowskiej — pisze Duranty — i dalsze jej perspektywy — sowietyzacja Polski i zbliżenie się Rosji do Niemiec — skłoniły Francję do udzielenia Polsce pomocy. Ponieważ przewóz wojsk francuskich przez Niemcy uznano za niewskazany, wysłano misję Weyganda. „Misja francuska przybyła do Warszawy w chwili, gdy na stacji stał pociąg, mający ewakuować rząd polski, który uległ panice (?), aczkolwiek polski wódz naczelny, Marszałek Piłsudski, pragnął walki. Zjawienie się Weyganda przyniosło uspokojenie, i po pośpiesznej naradzie wojennej Marszałek i Generał podjęli manewr godny samego Focha”. W rezultacie traktatu ryskiego, Polska uzyskała „pewne niewielkie terytoria dodatkowe (some minor additions) na Białorusi i Ukrainie”.

Duranty przyznaje, że pochód bolszewików na Warszawę miał na celu wzmocnienie nastrojów rewolucyjnych w Europie poprzez sowietyzację Polski: „Lenin całkowicie zdawał sobie sprawę z tych możliwości i dlatego podobno nalegał na uderzenie na Warszawę, chociaż niektórzy z jego doradców wojskowych zalecali ostrożniejszą politykę”. Na innym miejscu Duranty dodaje: „W lecie 1920 r. Lenin w pewnym momencie miał wizję ekspansji na zachód, sięgnięcia poprzez Polskę w serce Europy i zatknięcia rosyjskiego czerwonego sztandaru na twierdzach Berlina, Wiednia i Budapesztu. Ten sen rozwiął się pod Warszawą...”.

Stracenie ks. Butkiewicza dnia 3 marca 1923 r. uważa Duranty za jeden z najcięższych błędów popełnionych przez Sowietów. Księża katolicy pochodzenia polskiego oskarżeni byli nie tylko o organizowanie oporu przeciwko rozporządzeniom rządu, ale i o zdradę stanu w czasie wojny z Polską w r. 1920. Gwałtowne ataki prokuratora spotkały się z „pełnymi godnościami” zaprzeczeniami oskarżonych. Wprawdzie zgromadzone dowody nie mogłyby spowodować skazania ich przez trybunał zachodni, ale art. 58 sowieckiego kodeksu karnego dawał sędziom właściwie „carte blanche”, gdy chodzi o oskarżenie o zdradę. Spodziewano się powszechnie, że skazani zostaną utaskawieni i po pewnym czasie wymienieni na komunistów, znajdujących się w rękach polskich, ale burza, która wyrok moskiewski wywołała w całym świecie i powszechne żądanie natychmiastowego zwolnienia skazanych, nie pozwoliły Sowietom — ze względów prestiżowych — na odwrót. Wprawdzie wyrazili gotowość oszczerzenia księży, którzy optowali na rzecz Polski, ale ks. Butkiewicz, który zachował obywatelstwo rosyjskie, został stracony. Kościoły wszystkich wyznań potępiły „brutalne

i nieusprawiedliwione — jak je zgodnie określono — morderstwo”. Komisarz do spraw zagranicznych, Cziczerin, wołał z rozpaczą, że ten jeden akt zniszczył trzy lata wytrwałej pracy nad zbliżeniem z Zachodem. Sam Duranty jest zdania, że wzburzenie amerykańskiej opinii publicznej uniemożliwiło Stanom Zjednoczonym uznanie Sowietów, na co się w owych czasach już zanosilo.

Duranty broni polityki Stalina, której punktem wyjściowym stał się pakt z Hitlerem z dnia 23 sierpnia 1939 r. Stalin — twierdzi autor — miał prawo nie ufać demokracjom zachodnim i miał obowiązek uczynienia wszystkiego, by odsunąć przewidywany przezeń atak Niemiec na Sowiety. W rokowaniach z Anglią i Francją na temat ewentualnej pomocy dla Polski, Rosjanie postawili sprawę jasno: „Zażądali „zabezpieczeń terytorialnych” w Finlandii i w państwach bałtyckich; przez te zabezpieczenia rozumieli okupację... punktów strategicznych na niektórych wyspach, mianowicie w zatoce Fińskiej. Dalej zaproponowali, że dwie armie rosyjskie wejdą do Polski od północy i od południa, ale że będą one niezależne od polskiego sztabu, aczkolwiek będą z nim współpracowały. Rosjanie nie ukrywali ani swego przekonania, że Polska nie

może odeprzeć najazdu niemieckiego, ani obawy, że w końcu będą musieli wziąć pobitą Polskę na swoje barki, czyli innymi słowy, będą wpędzeni w wojnę z Niemcami w najbardziej niesprzyjających okolicznościach”. Francja i Wielka Brytania odpowiedziały odmownie na propozycje rosyjskie, uważając, że spowodowałyby one naruszenie suwerenności państw bałtyckich, Finlandii i Polski.

Tak czy inaczej, pakt sowiecko-niemiecki z sierpnia 1939 r. oznaczał „tryumf Hitlera”. Polskę rzucano na pożarcie. Mimo „bohaterskiej obrony Warszawy”, armia polska została pobita „z łatwością” (easily) w ciągu trzech tygodni. „Wszelkie nadzieje Polaków na prowadzenie dalej walki wśród bagien wschodnich zniweczyli Rosjanie, którzy uwieńczyli swój interes z Hitlerem porozumieniem co do rozbioru Polski pomiędzy Rosję a Niemcy — trzecim (nie trzecim ale czwartym — przyp. nasz) takim porozumieniem w ciągu dwustu lat. Rządy francuski i brytyjski pozostawiły Polskę jej losowi. Prawdą, że ze złe ukrywaną niechęcią (reluctance) i pod naciskiem opinii publicznej wypowiedziały Niemcom wojnę, wojnę, do której były tak nieprzygotowane, że ani jeden samolot, ani jeden żołnierz, ani jedno działo nie zostało wysłane na

pomoc Polakom i że nie przedsięwzięto żadnej wrogiej akcji przeciwko Niemcom na zachodzie, z wyjątkiem wielce przereklamowanych utarczek w Alzacji zachodniej. Francuzi usiłowali tam zachowywać pozory, zajmując kilka miast niemieckich i wąski pasek terytorium w wojnie, która w krótkim czasie zdobyła szeroki rozgłos jako „Sitzkrieg” albo „phoney war”. Być może, wyda się to dziwne, ale w tym okresie brytyjskie siły powietrzne nie rozrzucały nad Niemcami zachodnimi nie bardziej niebezpiecznego niż ulotki, które mówiły ludności, jaki Hitler jest „brzydki” (naughty).

Duranty przyznaje, że twierdzenie Polaków, iż wkroczenie wojsk rosyjskich dnia 17 września było „pchnięciem od tyłu”, jest częściowo słuszne, gdyż „posuwanie się Rosjan dopełniło porażki armii polskich, które Rosjanie rozbroili i internowali bez jakiegokolwiek poważnej walki. Z drugiej strony — twierdzi Duranty — rząd polski dwa tygodnie przedtem uciekł do Rumunii, a Rosjanie nie mieli ani ochoty ani powodu do ratowania szczątków dzielnych ale pobitych wojsk. Ich bezpośrednim celem było zająć jak można najszybciej dzielnice Polski, które wycisnęli od Niemiec jako część zapłaty za pakt przyjaźni oraz za dostawę nafty i zboża, manganu i bawełny”. Poza tym reakcja opinii krajów anglosaskich mało obchodziła Stalina, który dążył do stworzenia najszerszego przedpola do obrony przed przeczuwanym atakiem Hitlera.

W rzeczywistości rząd polski opuścił granice Kraju nie na dwa tygodnie przed najazdem sowieckim, ale już po tym najęździe, kiedy wszelka nadzieja na dalszą obronę była stracona. Duranty i w innych wypadkach „upraszcza” sobie rozumowanie: tak np. dopatruje się zamiennego gestu w uznaniu przez Sowietów nowego rządu jugosłowiańskiego na wiosnę 1941 r., zapominając dodać, że wkrótce potem poselstwo tego nowego rządu zostało z Moskwy — ze względu na stosunki z Niemcami — bezceremonialnie wyrzucone.

Podobnie nieprawdziwe jest twierdzenie, że Polska wraz z Holandią i Szwajcarią głosowała przeciwko przyjęciu Sowietów do Ligi Narodów. W rzeczywistości Polska bez żadnych zastrzeżeń głosowała za przyjęciem Sowietów do Ligi Narodów. Na sesji zgromadzenia Ligi Narodów dnia 17 września 1934 r. Beck, przypominawszy zadowolające stosunki sąsiedzkie pomiędzy Polską a ZSRR oraz wzajemne pakt o nieagresji, udzielił wnioskowi o przyjęciu Związku do Ligi „stanowczego poparcia”. Rzekome trudności polegały na tym, że Polska zażądała od Sowietów potwierdzenia zawartych z nimi poprzednie układów dwustronnych, na co Moskwa szybko i chętnie się zgodziła. Przeciwno przyjęciu Sowietów do Ligi Narodów głosowała nie Polska, ale Portugalia.

(scr.)

Scrutator.

Rosja i Middle Zone

Bernard Newman, autor m. in. dwóch książek o Polsce, „Pedalling Poland” i „The Story of Poland”, ogłosił studium „Balkan Background” (*), w którym omawia stosunki na półwyspie bałkańskim i ukazuje dążenia państw tamtejszych.

Newman jest zwolennikiem idei federacji państw bałkańskich oraz Polski, Czechosłowacji i Węgier (tzw. Middle Zone), idei najmocniej popieranej w prasie brytyjskiej przez F. A. Voigta i Douglasa Reeda. Początkowo rządy brytyjski i amerykański odnosiły się życzliwie do wszelkich projektów federacyjnych, błogosławiąc porozumieniu polsko-czechosłowackiemu i jugosłowiańsko-greckiemu. Ale Rosja jest przeciwna idei federacji: komuniści uważają ją za nowy „cordon sanitaire” wymierzony przeciwko Sowietom w oparciu na „baronach faszystowskich”. Szczególnie ostro zaatakowano trzy organizacje popierające ideę federacji: Danubian Club, Middle Zone Commonwealth Association oraz komitet amerykański, mimo że Danubian Club jest latrością Fabian Society, a komitet amerykański składa się w szerokiej mierze z przedstawicieli socjalistów i chłopów. „Lecz historia uczy, że komuniści atakowali ideę demokratyczno-socjalistyczną równie konsekwentnie a czasami z większym ferverem niż doktryny konserwatywne”. Tygodnik sowiecki „Wojna i Rabczoj Kłass” zjadliwie nazywał ideę Middle Zone „polską zasłoną dla faszystów i quislingów”. Nie trzeba brać opinii tego tygodnika zbyt poważnie — zaznacza Newman. Nawet taki „wielki przyjaciel Rosji”, jak Eden, rozprawiał się z wypowiedzianym tam twierdzeniem, że do czasu ataku Niemiec na Rosję, robotnik angielski nie miał serca do wojny, i dodał, że „ktos, kto wierzy w to, będzie wierzył we wszystko”.

Tak czy inaczej, trzeba się liczyć z faktem, że Rosja nie chce federacji środkowo-europejskiej. Pewne koła brytyjskie unikają obecnie wszelkich drażliwych dyskusyj z obawy urażenia Rosji. „Jest rzeczą godną uwagi, że ten czy inny mówca, albo pisarz, może jak najkrytyczniej ustosunkować się do Polaków, Czechów, czy nawet Amerykanów — a na pewno Brytyjczyków! — ale jeżeli wypowie słowo, które może być uznane za krytykę Rosji lub polityki rosyjskiej, wówczas spada nań lawina protestów i zniewag — nie ze strony Rosjan, ale Brytyjczyków”. A tymczasem w interesie zarówno Rosji jak Wielkiej Brytanii leży jasne postawienie pewnych spraw. Do tych spraw należy sprawa federacji.

Tu Newman daje rodzaj syntezy poglądów, które często spotyka się na Bałkanach. Bałkany — pisze Newman — dają do obalenia przemocy Niemiec, ale nie po to, by Niemcy zastąpiła Rosja. Bałkany z entuzjazmem przyjęły podpisanie przez Rosję Karty Atlantyckiej, ale tym więcej były zaniepokojone, że o tej Karcie Atlantyckiej nie wspomniano w uchwałach konferencji moskiewskiej. W związku z art. 6 oświadczenia moskiewskiego, należy sobie postawić jasno pytanie: „czy granice z r. 1938 zadowalały Rosjan, czy też domagają się oni granic narzuconych (seized) przez nich w r. 1939 i 1940?”. Gdy po pakcie z Niemcami Rosja zabezpieczała sobie przedpole strategiczne kosztem małych państw, można było jej stanowisko zrozumieć, jeśli się nawet nie pochylało metod. Gdy np. chodzi o Polskę, „musimy się zgodzić z tym, że jeśli Rosjanie nie weszli do niej, Niemcy zagarnęliby cały kraj. Można dowiedzieć, że tkwiła w tym dostateczna (justifiable) podstawa do posunięcia rosyjskiego. Ale czy tkwi w tym dostateczna podstawa do stałej okupacji rosyjskiej? Rzecz prosta, wiemy dobrze, że znaczna ilość Ukraińców i Białorusinów mieszkała w Polsce a mniejsza ilość Polaków w

Rosji. Ale czy to zagadnienie ma zostać rozstrzygnięte w drodze dyskusji czy też siłą?”

Wracając do sprawy Polski wschodniej, powstaje pytanie, czy Rosja nie zamierza użyć jej jako odeskoczn do pochłonięcia całej Polski, podobnie jak Niemcy uczynili z Czechosłowacją po zabranii Sudetów? Rosja zapowiada, że chce silnej i przyjaznej Polski, ale „przyjaźń nie może być narzucona”. Trudno zresztą przypuszczać, aby Polacy zachowali przyjazne uczucia dla Rosji, jeśli zabierze ona połowę ich terytorium. „A gdy nie będą one przyjazne, co się stanie z kałużą kraju, jeśli Rosja nastaje na przyjazne sąsiedztwo? (Przypomnijcie sobie, że Niemcy nastawiali na przyjazną Czechosłowację, jako na ich sąsiadkę). Jeśli Rosja życzy sobie przyjaznej Polski, może ją mieć jutro, gdy ponownie stwierdzi, że pakt Hitler-Stalin z r. 1939 oraz wszystkie jego konsekwencje wygasły (are dead) i że wszelkie zmiany granicy polsko-rosyjskiej będą dokonane za wspaniałą zgodą”.

Stosunek Rosji do Polski można porównać ze stosunkami Stanów Zjednoczonych do Meksyku. W czasach kiedy carat uciskał Polskę wojskowo, Stany uciskały Meksyk przy pomocy presji gospodarczej („dollar diplomacy”). Po pewnym czasie metody te porzucono, zastępując je rzeczywistymi dobrymi stosunkami sąsiedzkimi. Było to nie tylko w zgodzie z moralnością, ale i opłaciło się także.

(scr.)

Anglia, Polska i Rosja

Wybitny historyk i parlamentarzysta, Sir J. A. Marriott ogłosił książkę „Anglo-Russian Relations 1689 — 1943” (*), w której daje zarys stosunków rosyjsko-angielskich od końca XVII w. na tle dziejów politycznych Europy.

Nieco miejsca poświęcono tu także zagadnieniu polskiemu, poczynając od rozbiórów Polski: „Pierwszym celem polityki zagranicznej Katarzyny było zapanowanie i — jeśli to możliwe — pochłonięcie Polski” — pisze autor.

Po wojnie światowej Polacy, „nieco wzbici w pychę (somewhat elated)” być może z powodu sympatii okazywanej im przez zachodnich sprzymierzeńców, oraz z powodu odzyskania niepodległości, dwukrotnie odrzucili propozycję pokojowe Rosji i korzystając z wojny domowej, rozpoczęli ofensywę, zdobywając 6 maja 1920 r. Kijów.

Z kolei fala odwróciła się: Rosjanie znaleźli się pod Warszawą. „Wprawdzie bolszewicy wypierali się wszelkiej chęci przyłączenia terytoriów polskich, ale w myśl słów Lenina, chodziło im o „zgnięcie burżuazji polskiej przy pomocy bagnetów czerwonej armii”.

Celem ich było stworzenie reżimu komunistycznego w sąsiednim państwie. Rządy francuski i angielski chętnie przyszyły Polsce z pomocą, ale robotnicy jednak szczególnie w Wielkiej Brytanii opowiadali się za rewolucyjną Rosją. Kolejarze Great Northern Railway wręcz odmówili transportu amunicji przeznaczonej dla Polski. Dzięki twardej postawie dyrektora kolei oraz Lloyd George'a, incydent zakończył się kapitulacją kolejarzy.

„Tymczasem na pięć przed dwunastą, — pisze autor — Warszawę uratował geniusz wojskowy Marszałka Piłsudskiego, przy nieocenionej pomocy gen. Weyganda, który był świętym szefem sztabu Focha i którego wraz ze sztabem oficerów francuskich wysłano do Warszawy. Rosjanie zostali odrzuceni

*) Anglo-Russian Relations 1689—1943 by Sir J. A. R. Marriott, Hon. Fellow (formerly Fellow and Lecturer) of Worcester College, Oxford; late M. P. for York. With three maps. Second edition. London, Methuen 1944; str. VIII i 227 i 1 nl.

*) Balkan Background. By Bernard Newman. Londyn, Robert Hale, 1944; str. 288 i tabl. 11.

*) USSR. The Story of Soviet Russia. By Walter Duranty, Author of „I Write as I Please”. Londyn, Hamish Hamilton, 1944; str. 293 i 1 nl.

JAN MARTYKA

W AMERYCE UMARLI WRACAJA...

KRONIKA FILMOWA

W połowie stycznia bieżącego roku amerykański urząd informacji wojennej ogłosił, iż Stany Zjednoczone straciły od Pearl Harbour blisko 650 tysięcy żołnierzy (645.380), przy czym ilość zabitych i zaginionych przekracza 200 tysięcy.

Dla społeczeństwa licznego jest to upust krwi względnie nieznaczny, jednakże po raz pierwszy od czasów wojny Północy z Południem doznaje Ameryka tak znacznych strat. Poprzednia wojna światowa kosztowała ją sporo w pożyczonych pieniądzech, ale tanio w ludziach. Dziś — sam odwrót na Filipinach i Nowej Gwinei pochłoniął więcej ofiar niż cała kampania amerykańska we Francji w r. 1918.

Oficjalnie podana liczba poległych, zaginionych i wziętych do niewoli, stanowi około pół procentu załudnienia Stanów Zjednoczonych z r. 1939. Można więc ocenić, że na każdych 50 mężczyzn w wieku od lat 18 do 40 co najmniej jeden w tej czy innej formie padł ofiarą wojny i że mniej więcej w tym samym stosunku kobiety mają powód opłakiwania swych braci, mężów czy narzeczonych. W społeczeństwie musi temu towarzyszyć świadomość, że ostateczne pokonanie Niemiec wymaga dalszych poświęceń, a rozprawa z Japonią jeszcze bardziej podwyższy cyfrę tych, którzy albo nie powrócą wcale, albo też wrócą niezdolni do prowadzenia dawnego życia.

Isolacjonści nie zniknęli nagle z powierzchni ziemi z chwilą ponownego wyboru Roosevelta, każdy zaś ojciec, który stracił syna, każda kobieta, która straciła swego mężczyznę, są potencjalnymi izolacjonistami. Dla propagandy amerykańskiej powstał nowy problem wytłumaczenia konieczności tych ofiar i złagodzenia, o ile to możliwe, żalobę ludzi, dotkniętych nieszczęściem. Część tego zadania, podjętego przez literaturę, przejął na siebie także i film.

Okres heroiczny

Początkowy okres po Pearl Harbour był w Stanach okresem heroicznym. Zbombardowanie Hawaj, zniszczenie wyspy Wake, klęska Bataanu, utrata Filipin — wszystko to uderzyło dotkliwie w prestiż armii, raniąc narodową dumę, i jako reakcja przysłała falę patriotycznego zapału. Podrażniona opinia szukała jakiejś rekompensaty za doznane upokorzenia i znalazła ją w przesławczaniu, iż klęskę należy przypisać przede wszystkim zdradzieckiej napaści, chłopcy zaś z Oregonu, Teksasu czy Florydy walczyli tak wspaniale, że ich postawa daje gwarancję przyszłego zwycięstwa. I kiedy obraz bohaterstwa żołnierzy połączył się z przyrzeczeniem MacArthura, iż powrócił tam, skąd go wypędzono, okupację Filipin przez Japończyków uznano za przejściowe zło zrównoważone w historii amerykańskiej armii nowymi kartami chwwały z Bataanu i Manilli, nowymi dowodami wierności dla kraju, złożonymi przez młodzież, dla której był on często ojczyzną dopiero w pierwszym pokoleniu.

Film od razu poruszył tę strunę. *Wake Island*, *Bataan*, *Cry Havoc*, *Guadalcanal Diary*, aż zastawiają swą śmiałością i bezceremonialnością w przedstawianiu dzieł porażki. Gdy rosyjskie filmy wojenne kończą się zawsze huraganowym atakiem Czerwonej Armii i smrotną, groteskową ucieczką Niemców, film ze Stanów ma jako finał albo śmierć wszystkich obrońców, albo też nieuniknioną kapitulację. Zazwyczaj giną wszyscy co do jednego, i zakończenie przynosi widok japońskiej flagi nad jedną więcej posiadłości Ameryki. W zamian obraz głosi, iż musi zwyciężyć kraj, mający takich żołnierzy, jak ci, którzy właśnie polegli w walce ze znieprawdzonymi Japsami. Na tle powściągliwości i raczej optymistycznego tonu filmów angielskich wojennych, uderzająca jest egzaltacja kinematografii amerykańskiej, zbliżona do sowieckiego pafosu. Różnica jednak między tendencją filmu rosyjskiego, a amerykańskiego jest zasadnicza: Rosja pokazuje zwycięstwa, Ameryka — tylko bohaterstwo. Zwycięstwo w wojnie jest rzeczą zrozumiałą samą przez się.

W uzasadnieniu celowości obecnej wojny, film posługuje się idealizowaniem zagrożonego przez hitlerizm polityczno-społeczny ustroju Ameryki. Walka z Japończykami nie potrzebuje perswazji, walka zaś z Niemcami nie jest przedstawiana jako niebezpieczeństwo bezpośrednie, jako groźba agresji terytorialnej, lecz bardziej jako możliwość agresji ideologicznej. Znamienne, że wojna w Europie prawie nie stanowi tematu dla amerykańskiego filmu, który skupia swą uwagę albo na scenach wojennych z Pacyfiku, albo też na ruchach podziemnych w krajach okupowanych. A gdy wreszcie przychodzi do podjęcia drażliwej kwestii strat na froncie, i wówczas film nie odważa się powiedzieć, że chłopak z Chicago ginie na polach Francji czy wśród gór włoskich — zawiadomienie o śmierci przychodzi z dowództwa na Pacyfiku.

Wojna porwya przede wszystkim ludzi młodych. Wojna totalna, którą przyniosła demokracja, zabijając młodzież na froncie, rewolucjonizuje jednocześnie i życie starszego pokolenia. Tetent jeżdżców Apokalipsy słysząc wszędzie i do małego prowincjonalnego miasteczka Ameryki dociera odgłos strzału, zabijającego syna na innym kontynencie. Ta kośba wśród młodzieży uderza tragiczną sprzecznością w idealizowany przez literaturę i film świat amerykańskiego życia. Stany Zjednoczone przestają być szczęśliwą wyspą, odgradzoną od burz i nieszczęść, a ci właśnie, dla których wyspa istnieje i rozwija się — najmłodszy, odchodzą od niej, aby padać po obcych ładach.

Najtypowszym przykładem apoteozy Ameryki była głośna powieść Saroyana *The Human Comedy* i powtarzający ją film. W pochwałę społecznej tolerancji i materialnego postępu Stanów Zjednoczonych spotykają się motyw asekuracji przed radykalnymi prądami politycznymi i motyw propagandy, nawołującej do obrony kraju i ustroju, gdzie trwa nadal, zewsząd wypędzane, życiowe współzycie człowieka z człowiekiem.

Sens śmierci

Im wyżej sięga idealizacja amerykańskiej teraźniejszości, tym łatwiej uzasadnić ofiary młodych, ginących w obecnej wojnie. *The Happy Land*, obraz znów streszczający jedną z popularnych powieści, samym tytułem odśladania syllogizmowej propagandy, podobnej do *Human Comedy*. Treść jednakże jest oryginalna i zajmuje się prawie wyłącznie kryzysem psychicznym ojca, którego syn, młody marynarz, utonął na storpedowanym okręcie.

Już podjęcie podobnego tematu jest interesujące. Jakże daleko odbiegłszy od frazesu, sławiącego barwność i urok wojny, opiewającego pięknych ulanów, sentymentalną piechotę i ulubioną dla

żołnierza muzykę armat. Film, wyrażający protest ojca przeciw śmierci dziecka, nie dostałby się nigdy na ekran w wojnie poprzedniej. Cenzura uznalaby go za obraz defetystyczny i nie dopuściłaby do analizowania zwrotu „zginął za ojczyznę”. Jeżeli dziś dzieje się inaczej, świadczy to jak bardzo jednak pacyfizm przeniknął w społeczeństwa demokratyczne i jak ciagle stanowi paradoksalne tło nowej masakry. Jeżeli jednak tak jest, znaczy to, że obecna wojna jest czymś więcej, niż wzajemnym wydzieraniem zysków. Amerykański film, akcentujący motyw pacyfistyczny, podkreśla tym samym potrzebę ideologicznych celów wojny.

Podobne dyskutowanie celowości śmierci żołnierza może wydać się dziwne dla człowieka Europy, gdzie narody walczyły wprost o swój byt, przeciwstawiając się bezwzględnej eksterminacji. Inaczej wygląda to w Stanach, gdzie znowu prowincjonalne miasteczko leży całkowicie poza zasięgiem wojny i zarządzanie mobilizacji sprawia wrażenie, jakby nadprzyrodzonej interwencji w spokojne powszednie życie.

Ojciec zabitego chłopca, taki właśnie przeciętny mieszczanin z prowincji, właściciel sporej apteki, buntuje się nie tyle przeciw faktowi śmierci, ile przeciw jej okrutnej wczesności. Źródłem nerwowego załamania ojca jest poczucie, iż na młodym istnieniu jego dziecka dokonano jaskrawej niesprawiedliwości: został zabity przez śmiertelnie ludzkie narzędzie człowieka, który nie zdążył jeszcze być prawdziwym, pełnym człowiekiem, nie doznał ludzkich radości i smutków, odszedł z życia nie wiedząc nawet, czym jest życie.

A jednak „ziemia szczęśliwa“...

Odtąd film rozwija się wstecz i opowiada przeszłość. Myśli ojca przebiegają we wspomnieniach życia syna, by stwierdzić, że jednak i w dzieciństwie istnieniu zawierają się wszystkie zasadnicze radości i konflikty ludzkiego życia i, że ten okres ziemskiego istnienia, jaki przeżył zabity żołnierz, ma swą niezależną wartość. I tu obraz, który mógłby być interesującą próbą psychologiczną i podjęciem tematu ogólnoludzkiego, staje się specyficznie amerykański. Pochwała dzieciństwa jest właściwie pochwałą dzieciństwa amerykańskiego, przeprowadzeniem tezy, że w tym szczęśliwym kraju, wśród dobrobytu, tolerancji, życiowego współzycia obywateli, 20 lat życia może być więcej warte, niż gdzie indziej całe istnienie. Kilkanaście epizodów, odtwarzających atmosferę prowincji w latach 1918—1941 ma w wi-

dstu umocnić podobne przekonanie i usprawiedliwić tytuł „Szczęśliwej krainy“...

Szczególną osobliwością filmu jest wprowadzenie, jako postaci pierwszorzędnej, ducha ojca nieszczęśliwego aptekarza, a dziadka zabitego żołnierza. On to jest przewodnikiem po przeszłości, on mówi o budownictwie pracy dokonanej przez pokolenia, wnoszeniu dobrobytu, o kształceniu demokratycznych ideałów, w których obronie walczył w wojnie domowej — dziad, w wojnie światowej — syn, za które w wojnie obecnej poległ wnuk.

Literacki rodowód pomysłu jest uderzający. Podobne podkreślanie łączności pokoleń, ciągłości życia i jego form, powtarzania się ojca w synu, znajdujemy w „Naszym mieście“ Thorntona Wildera, znanym zarówno z teatru, jak i filmu.

Wprowadzenie świata pozagrobowego jest jednak tylko pustym naśladownictwem. Powtarza się podobny motyw i w paru innych filmach i wiąże się z amerykańską tęsknotą do historyczności, do żywienia przeszłości, jako źródła narodowej tradycji. Jedna scena z *The Happy Land* mówi za wszystko: umierający dziadek pragnie przed śmiercią zobaczyć świeżo narodzonego wnuka i oto przy śmiertelnym łożu spotykają się trzy pokolenia: dziad, ojciec i syn — niemowlę. Bóg zabiera, Bóg daje — rytm życia płynie nieprzerwanie...

I ta tendencja i ta właśnie scena posiadają charakterystyczne podobieństwo z filmem niemieckim z lat 1933—1936, zwłaszcza zaś z obrazem pt. *Die Flüchtlinge*. Były to pierwsze lata po dojściu Hitlera do władzy, w *Ufie* przeprowadzono zmiany i zamiast filmu o dość międzynarodowej ideologii zaczęto forsować obrazy patriotyczne, wówczas wolne jeszcze od specyficznych tendencji hitlerowskich. Dziś w Ameryce nastroje patriotyczne znajdują podobny wyraz w filmie.

Zakończenie *The Happy Land*, podobnie jak w *Human Comedy* apeluje do solidarności społecznej. Uratowany z okrętu przyjaciel syna przynosi rodzinom ostatnie jego pozdrowienie: chłopak zginął wynosząc rannych z okrętowego szpitala. Mógłby uratować się, gdyby więcej myślał o sobie, niż o innych. Temu samemu ideałowi składa hołd i ojciec, przyjmując w domu samotnego marynarza, jak rodzinnego syna. Jak w *Human Comedy*, żołnierz bez rodziny zastąpił utraczone dziecko, gdyż — zdaje się mówić film — wszyscy w Stanach jesteśmy jedną wielką rodziną ludzi, złączonych wspólną koncepcją życia.

TOLA KORIAN

Na wstępie zastrzeżenie. Jest to recenzja dyletanta. Nie znam się na muzyce — ale lubię muzyki słuchać; nie mam pamięci muzycznej — ale mam dość wyraźnie określone upodobanie muzyczne; nie „rozumiem“ muzyki — ale muzyka mnie wzrusza.

Nie wiem, czy to wystarczy do pisania sprawozdania z koncertu, ale mam pewne podejrzenia, że większość byłowców koncertowych reaguje na muzykę podobnie jak ja, choć się z tym — nie wiadomo dla czego — kryje. Dużo myślałem o mojej muzycznej ułomności. Zmuszałem się do muzycznych zainteresowań. Był czas gdy, z wytrwałością, godną lepszej sprawy, nie opuszczałem ani jednego odczytu muzycznego krakowskich muzykologów: Jachimieckiego i Reissa, i gdy na niedzielne poranki symfoniczne chadzałem z partyturą, śledząc mozolnie na papierze muzyczne perypetie. Prawdopodobnie gubiłem wówczas muzykę. Nie pamiętam. To są bardzo stare dzieje.

I tu drugie zastrzeżenie. Nie zabieram się do pisania peanu pochwaleńczego ani „entuzjastycznej“ oceny. Nie mam, jak to na wstępie zaznaczyłem, do tego kwalifikacji. Celem niniejszej recenzji jest tylko analiza tych wrażeń muzycznych, jakie na mnie (— na dyletanta —) zrobiło zetknięcie się ze sposobem interpretacji muzycznej p. Toli Korian. To zastrzeżenie jest konieczne z innego jeszcze powodu. Czytałem niedawno w „Dzienniku“ dwie recenzje z koncertów pani Korian i chcę się stanowczo od tych recenzji „fachowych“ i „entuzjastycznych“ jak najwyraźniej odgrodzić.

Po tej dygresji, *reuenons a nos moutons*. Każda analiza powinna zacząć się od opisu. Tym bardziej, że koncertów p. Korian nie tylko się słucha, lecz, że się je także ogląda.

Tola Korian jest niski. Ma ostre, kanciaste nieco rysy. „Musi być zawzięta“, szepnął ktoś siedzący koło mnie na jednym z jej koncertów. Ma piękne jasne włosy i niebieskie oczy, ale nie ma w sobie nic z tej karmelkowej beznamiętności, jaką sugerują blondynki o niebieskich oczach. I aby zamknąć opis klamrą definicji, — nie czarujcie urodą, ale zastanawia. „Musi być zawzięta“, powiedział mój sąsiad, ale mógł równie dobrze powiedzieć, że jest z typu kobiet, które z początkiem tego wieku były w Anglii sufrażystkami!

Głosu — w znaczeniu operowym — Tola Korian nie ma. Dlatego lepiej „wychodzi“ gdy śpiewa w akustycznej sali koncertowej, niż w zaimprovizowanej sali Ogniska Polskiego. Jeśli miał porównać jej głos z czymkolwiek, zaryzykowałbym porównanie z jej niepozorną, a mimo to pełną wyrazu postacją.

Powyższy opis nie byłby jednak pełny gdybym nie wspomniał, że Tola Korian akompaniuje swoim śpiewem mimiką i grą rąk. Nie rusza się po scenie. Nie szuka taniego, tanecznego efektu. Gra twarzą i gestami. Jest to bardzo ważny element jej sztuki i... jej muzyki.

Program jest jej własny. Nie pisała wprawdzie sama tych wielu pieśni i wierszy, które odzwierciedla, ale sama je zebrala i wybrała z zakamarków starych bibliotek muzycznych, czy Bóg wie skąd. Na jej repertuar składają się przeważnie pieśni prymitywne: stare melodie, pieśni ludowe, piosenki czy bajki dziecięce. Prymitywność ta leży raczej w słowach niż w melodii. (Choć... czy ja wiem? Przecież nie znam się na melodiach...!) Ostatni koncert Toli Korian odbył się w londyńskiej sali koncertowej Wignora Hall i poświęcony był wyłącznie koledom. Śpiewała koledy angielskie, francuskie, włoskie, czeskie i naturalnie polskie. (Tola Korian jest poliglotką. Śpiewa po

angielsku, francusku, włosku, czesku, niemiecku, a może i w innych językach. Ale to tylko na marginesie). W powyższym programie koled tylko dwie koledy angielskie (do słów Hermana Oulda) oraz Debussy'ego „*Noel des enfants qui n'ont plus de maison*“ były utworami nowoczesnymi. Na resztę składały się głównie stare koledy francuskie i polskie. Nie przypadkiem ta preponderancja „prymitywu“ przypomina — Ivette Guilbert. Tola Korian była uczennicą wielkiej diseusey.

Ale wróćmy do moich osobistych przeżyć muzycznych. Napisałem powyżej, że „w cnotliwej niewinności muzycznej uchowałem się aż do czasu, gdy usłyszałem w Londynie Tolę Korian“. To stwierdzenie jest prawdziwe choć nie zupełnie ścisłe. Od szeregów lat „puszczałem się“ muzycznie ale bez specjalnego animuszu. Tak jest! Zgadliście! Radio. Niewinność współczesna zawiera sporą dozę doświadczenia. Także w muzyce. Dawnie człowiek bez specjalnych zamiłowań muzycznych mógł się od muzyki zupełnie odgrodzić. Dziś radio i kino narzucają muzykę każdemu.

Słuchałem więc jazzu, słuchałem najprzeróżniejszych łatwizn kabaretowych, od czasu do czasu słuchałem nawet bardziej melodyjnych kompozytorów tzw. poważnych. Słuchałem, ale nie myślałem o tym co słucham. Czytałem na tle muzyki, pisałem na tle muzyki, nawet w rozmowie nie radio nie przeszkadzało. Na koncerty jednak nie chodziłem, doświadczenia młodości udowodniły mi bowiem, że muzyki nie rozumiem i basta.

Na koncert Toli Korian poszedłem po raz pierwszy, bo tak się złożyło. Wypadło, abym poszedł. Nie byłem przejęty koncertem. Nie byłem „zachwycony“. Tola Korian nie wydała mi się „zjawiskiem niepowądzanym“. Ale zacząłem myśleć o muzyce. Z początku zainteresowała mnie poezja pieśni ludowych, które śpiewała. Potem ujrzałem jej grę. I wówczas nagle usłyszałem muzykę. I za to jestem jej wdzięczny. I dlatego chyba chodziłem stale na jej wszystkie koncerty londyńskie. Już nie dlatego, że wypadało, ale dlatego, że uczyłem się na jej koncertach muzyki. Jeszcze jedna reminiscencja. Przez jakieś nieuchwytnie skojarzenia przypomniał mi się wówczas — podczas tego pierwszego koncertu — „Sokrates tańczący“ Tuwima.

Dlaczego właśnie Tola Korian obudziła we mnie myślenie muzyczne? Nie ma przecież w jej interpretacji ani muzycznej wirtuozerii, ani szerokiej skali tematów muzycznych. Nie umiem udzielić wyczerpującej odpowiedzi na to pytanie, ale mogę zaryzykować parę sugestii.

1) Mimika i gestykulacja Toli Korian — bodaj najwyższy szczebel jej artyzmu — gra równoległe do muzyki a nie do słów, które nie zawsze wierne wyrażają treść muzyki. 2) Repertuar jej koncertów jest dobrany pod kolor jej stylu. Jest muzyczny i *highbrow* i unika łatwizny kabaretowej i efekciarstwa. Łatwiej dzięki temu skoncentrować się na muzyce. 3) Pieśni śpiewane przez Tolę Korian są przeważnie krótkie i jedno tematowe, ale równocześnie wachlarz jej programu jest olbrzymi. Wzruszeń do wyboru i do koloru!

Na dziś to wszystko. Może kiedyś potrafię napisać bardziej fachową recenzję. Raz obudzone zainteresowania muzyczne — jak każde inne zainteresowania — nie dadzą się łatwo wypłenić. Opo- wiem wówczas może coś więcej o Toli Korian. Może potrafię wówczas zapomnieć o sobie, a będę epatował erudycją analogii. Ivette Guilbert, Iza Kraemer i t.d. I może będę wówczas śmielszy w pochwałach, których boi się moja dzisiejsza niekompetencja.

H. S. Dominik

Wobec tego rodzaju obrazów zawsze wolno było wysunąć zastrzeżenie, iż w swej amerykańskiej reklamie zapominają o ostrej walce klasowej, o bezrobociu niszczącym społeczeństwo podczas kadencji Hoovera. Film *The Happy Land*, obejmując w skrócie lata między pierwszą a drugą wojną światową, nie mógł bezrobociu nie dostrzec. Toteż do apteki przychodzi z prośbą o darmowe lekarstwa biednie ubrani ludzie, robotnicy zwolnieni po 20 latach pracy. Pocziwy aptekarz wydaje im leki, udziela wsparcia, dorastającemu zaś synowi tłumaczy, iż nie jest to *charity*, lecz tylko naturalne, zdrowe koleżanstwo.

Gdyby stąd wysnuć morał, wypadłby on bardzo niemiernie: gdy bowiem daje się bezrobotnym pomoc i jałmużnę, znaczy to, że jedni pracują na drugich, że część sił roboczych marnuje się ze szkoda dla społeczeństwa, a z upokorzeniem i biedą dla próżnujących jednostek, co wszystko razem nie świadczy o właściwej organizacji życia.

Warto jeszcze podkreślić jedną stronę omawianego filmu. Oto gotowość autorów do wprowadzenia czynnika nadprzyrodzonego, umieszczanie w sztukach i filmach życiowych duchów ojców zmarłych, ma oparcie w religijności amerykańskiej prowincji, religijności chaotycznej, gdy idzie o jej kościelny wyraz, ale niewątpliwie szczerze w swej zasadniczej wierze w życie pozagrobowe. Niedawno np. jeden z wielkich magazynów *Look*, zamieścił artykuł dyskusyjny pt. „Religia czy przesąd?“ Redakcja zasypała pełne oburzenia listy żołnierzy i... ich rodziców. Walczący w dżunglach na wyspach Pacyfiku wzywają autora, aby przyłączył się do nich i wówczas porozmawiać o znaczeniu religii w ludzkim życiu.

Propaganda „dobrej żony“

Wpływem wojny na życie amerykańskie zajmuje się również obszerne inny obraz pt. *Tender Comrade*. Jest to prawie *all-women-picture* jak *Cry Havoc*. Ale gdy tam kobiety pełniły służbę siostr szpitalnych na Bataanie, tutaj pracują w wojennej fabryce. Są to wszystkie żony żołnierzy — wojna zabrała im mężów, a same zmusiła do pracy zarobkowej, do porzucenia dawnych domów i osiedlenia się w pobliżu fabryki. Narzekając na drogie i szczupłe pokoi (ale z łazienkami!), w których mieszkają, postanawiają wspólnie wynająć duży dom. I tak powstaje mała kobieca republika.

Film, rozpoczęty doskonałą sceną krótkich odwiedzin męża przed wyjazdem na front, nie spełnia zapowiedzi, traci tempo i służy wyłącznie grubymi niemiędzy szejt propagandzie. Interesujące za to są propagandowe tezy.

Przed wszystkim film jest wielką pochwałą wiernych żon, które przyczyniają się do wysiłku wojennego, zamiast chodzić po nocnych lokalach i zdradzać nieobecnych mężów. Następnym wyraźnym zaleceniem filmu jest postaranie się o dziecko, korystając z urlopu męża. W nazie nieszczęścia dziecko wypełni kobiece życie — brźmi teza propagandy, choć chcielibyśmy się zapytać, czy kobieta z małym dzieckiem znajdzie odpowiednią pracę równie łatwo jak kobieta bezdzietna i jaka będzie jej sytuacja materialna po powrocie mężczyzn na rynek pracy. Wreszcie zakończenie, wypełnione nieprawdopodobną przemową matki do niemowlęcia, kreśli wizję przyszłego życia w wolnym, demokratycznym kraju, w którego swobodzie obronie poległ ojciec. Ta całość, przeładowana moralizatorstwem, bardzo familijna i bardzo *gemütlich*, podana niezrecznie, mimo braku wartości artystycznych, posiada pewną zdolność wzruszania widza dzięki prawdziwości i naturalności zasadniczej sytuacji: losu osamotnionych kobiet.

„Darmozjady“

Najciekawsze jest jednak zetknięcie się z autentyczną izolacjonistką, która niewątpliwie wypowiada to, co myśli przeciętny Amerykanin o interwencji w Europie.

Zaczęło się od narzekania współlokatek na ograniczenia żywnościowe i brak kredek do ust. Jeśli idzie o te ostatnie, bohaterki filmu miały realny powód do uskarżania się: Stany Zjednoczone ostatnio wysyłały lipstick! do Wielkiej Brytanii w ramach akcji Lend-Lease, ponieważ użycie kredek do ust jest najłatwiejszym i najszybszym sposobem zaznaczania na mundurze rannego w jakim miejscu znajduje się obrażenie. Tym niemniej niezadowolone kobiet w Ameryce jest tak znaczne, że lord Halifax jedno ze swych przemówień do obywateli amerykańskich poświęcił specjalnie tej sprawie.

Otóż gdy sprzeczka doszła do szczytu „izolacjonistka“ oświadczyła: „nie mamy masła, nie mamy tłuszczu, wszystko musimy wysyłać tym darmozjadom. Nasi chłopcy giną, aby tamci mogli najęść się naszymi konserwami, a gdy się już najedzą, wtedy z pewnością spadną nam na kark ze wszystkimi swoimi kłopotami“.

Film stara się rozprawić z tak sformułowanym programem izolacjonistycznym przez akcentowanie związku między wolnością w Europie i wolnością w Ameryce. Jedną z lokatek mieszkaniowej kooperatywy jest „dobra Niemka“, emigrantka, nie posiadająca jeszcze obywatelstwa amerykańskiego, której mąż walczy już ochotniczo przeciw hitlerowcom. Jej obecność ma być przykładem, że jeżeli gdziekolwiek zaczyna się terror, wówczas prędzej czy później, każdy musi w końcu bronić wolności w swym własnym domu.

Wojna zaś nie polega wyłącznie na uruchomieniu fabryk i wysyłaniu towarów do Anglii. Do kobiecego światka nadchodzi złe wiadomości: ten został ranny, tamten zabity. Najcieleż dotknięta nieszczęściem ukrywa swą depezę, by nie macić radości koleżanki, do której mąż przyjechał na urlop. Sądzi, że w ten sposób i sama przyczyni się do lepszego, szczęśliwszego świata, za który poległ jej ukochany człowiek i w którym będzie żyło jej dziecko.

Jest to więc powtórzenie innymi słowami wniosków z *The Happy Land*. W obydwu wypadkach poczucie solidarności góruje nad osobistymi uczuciami, każe stłumić ból i powiedzieć sobie, iż ma sens śmierć młodych, która najmłodszym zapewni życie w pięknym, wolnym świecie.

Wobec tych wszystkich szlachetnych tendencji wolno jedynie żałować, że podobne filmy wyglądałyby na przykrą groteskę, gdyby je pokazał w większości krajów „wyzwolonych“. Możemy się jednak pocieszać, że nawet nie we wszystkich Narodach Zjednoczonych cenzura dopuściłaby do ich wyświetlania.

W PRZEDEDNIU SAN FRANCISCO

Dwa oczekiwania

Nie sposób w obecnym przeglądzie polityki międzynarodowej ogarnąć tych wszystkich wydarzeń, jakie nastąpiły po dniu 1 marca — data ukazania się poprzedniego numeru „W Drodze” — na frontach wojennych Europy i Pacyfiku, w życiu politycznym Anglii i Ameryki, we wzajemnych stosunkach Zjednoczonych Narodów, w rozwoju sytuacji wewnętrznej Grecji, Włoch, Rumunii, Węgier i Finlandii, wyróżniając się pierwszymi — po odejściu Niemców, a przyjeździe Rosjan — wyborami do ciał ustawodawczych.

Poniższe uwagi muszą zastąpić trzy normalne oceny polityczne, jakie ukazywały się „W Drodze” w odstępach dwutygodniowych. Prowadzi to samo przez się do pewnej syntezy i wysunięcia na czoło dwóch oczekiwań, które przeżywa świat naszej cywilizacji: *oczekiwania* na zwycięski koniec wojny w Europie i ostateczną klęskę niemieckiego porządku oraz *oczekiwania* na wielką debatę konferencji w San Francisco, mającą dać pierwszą wspólną odpowiedź wszystkim aliantów na pytanie, jak będzie wyglądać przyszłość pokoju oczekującego Europę po przekreśleniu nazizmu i organizowanej przez nazizm swojej europejskiej jednolitości politycznej i gospodarczej.

Był czas, że istniały obawy o losy wojny, lub co najmniej o czas jej trwania, obok tego zaś pewność zasad, na których miałyby opierać się pokój. Dziś jest odwrotnie: coraz oczywistsze jest zwycięstwo i coraz większy niepokój budzi los pokoju. W dziennikach depeszo o postępach marszu Montgomery i gen. Pattona towarzyszą wiadomości o rozzdźwiękach ujawniających się tym bardziej, im bliżej konferencji w San Francisco — i im bliżej upadku Berlina. I bodaj że ta druga grupa informacji budzi większe zainteresowanie, niż codzienna lista kapitulujących miast niemieckich, brzmienia niby abecadła, gdzie po pierwszej literze nieuchronnie przychodzi ostatnia. Od chwili przejścia aliantów przez Ren, zwycięstwo psychicznie jest już *consumatum*, podczas gdy pokój i przyszłość grają nadal licznymi niepewnościami.

Przejście Renu

29 marca r. b. I aliancka armia spadochronowa, II armia brytyjska i IX armia amerykańska pod osłoną nierozproszonych jeszcze ciemności nocnych przekroczyły Ren, ostatnią zapórę odgradzającą Niemcy od klęski. Pierwsze lądowania nie spotkały się z oporem — z drugiego brzegu nie padły nawet strzały.

Wkrótce przez wybitą bramę runęło 3000 czołgów, równoważnik mniej więcej 12 dywizji pancernych. Powodzenie IX armii stało się hasłem ataku dla sił skupionych w Ramagen. Armie amerykańskie: pierwsza i trzecia, poprzedzane przez wspomniane zmasowane czołgi ruszyły ku środkowi Niemiec, przecinając Rzeszę, jak przez pas. 31 marca Amerykanie znajdowali się już 11 mil od Kassel i 170 mil od Berlina, w prasie zaś pojawiły się wiadomości o złożeniu aliantom przez Rundstedta tajnej oferty kapitulacji frontu zachodniego. Zanim jednak nadeszła odpowiedź gen. Eisenhowera, wymagająca porozumienia z rządami Anglii, Ameryki i Rosji, Rundstedt został usunięty, jego zaś miejsce zajął marsz. Kesselring, dowódca sił niemieckich w północnych Włoszech, jeden z nazistów umieszczonych na liście zbrodniarzy wojennych. Przyjście wiernego wyznawcy Hitlera nie zmieniło sytuacji, opór Wehrmachtu nie okrzepł.

Równocześnie oddziały marsz. Montgomery ruszyły poprzez zagłębie Ruhry, — najgłębiej załudniony okręg Niemiec — ku nizinie nadmorskiej, odcinając Niemcom stopniowo port za portem, zmierzając do odgródzenia Danii i Norwegii. Ponadto I armia francuska przekroczyła Ren pod Rastatem wsparcie lotnicze ofensywy określają korespondenci, jako „bez precedensu”, przeciętna zaś bombardowania wnętrza Niemiec wyniosła 4,500 ton dziennie.

Niewątpliwym celem Pattona jest dotarcie do granic Czechosłowacji, przecięcie Niemiec, połączenie się z Armią Czerwoną. Montgomery znowu dąży ku Szczeciniowi i odcięciu Berlina od północy. Przy tempie ofensywy, jakiej jeszcze nigdy nie było na ziemiach niemieckich, zawodne jest notowanie pozycji alianckich. Wystarczy powiedzieć, że Montgomery jest już pod Hamburgiem, Amerykanie zaś znaleźli się niemal pod samym Berliinem, którego upadek może być zupełnie nagły.

Cóż Niemcom pozostaje? Można się jeszcze liczyć z zaciętkiem i względnie trwałym oporem w Norwegii, gdzie znajduje się 200.000 żołnierzy i gdzie ostatnio przenoszono znaczne siły Luftwaffe, natomiast zapowiadane przez Hitlera ostatnie gniazdo oporu w górzystych okęgach Bawarii, Czech i Austrii zostało zagrożone sukcesami sowieckimi.

Nowa Austria?

Na północy frontu wschodniego padł od dawna izolowany Królewiec, na południu jedno z czterech ramion ofensywy sowieckiej zajęło Wiedeń, krwawiąc się w walkach ulicznych i niszczone bombardowaniem. Zorganizowany opór ustał 10 kwietnia i z chwilą opanowania austriackiej stolicy nadszedł czas by przystąpić do wypełnienia obietnicy niepodległości. Zw. Sowiecki niezwłocznie oświadczył, iż pragnie pomóc Austriakom w stworzeniu demokratycznego rządu, komunistyczne zaś odłamy ruchu podziemnego wypowiedziały się ostro przeciw socjalistom i partii katolickiej, zarzucając im skryte sympatie dla Niemiec i niezgodność do *prawdziwej* demokracji.

Austria jest jednym z terenów, na których mają się spotkać współokupujące terytoria nieprzyjacielskie oddziały aliantów zachodnich i alian-ta wschodniego. Być może także, że przez Austrię przebiegnie linia podziału na sferę amerykańsko-angielską i sferę sowiecką, jaka wytworzy się automatycznie po zawieszeniu broni. Nie wiemy dziś, czy ten rysunek na mapie Europy będzie odpowiadał stanowi rzeczy w chwili zawieszenia broni, czy też granicom okupacji, proponowanym już kilkakrotnie w międzyalianckich rozmowach. Obok Rosji, Anglii, Ameryki pragną też okupować pewne terytoria niemieckie Francja, Czechy i „rapad” lubelski. Związek Sowiecki przyrzekł swe poparcie postulatowi okupacyjnym Lublina oraz zapewnił wyekwipowanie odpowiedniej armii czechoskiej. Wydaje się więc prawdopodobne, że poprzednie projekty podziału na strefy okupacyjne mogą ulec zmianie.

Przegląd polityczny

Linia okupacji sowieckiej, oraz współpracujących z Sowieciami państw, będzie, co najmniej do konferencji pokojowej, linią podziału Europy na zasadnicze strefy wpływów. Przejście jednak tej linii przez Niemcy łatwo doznaje widocznej modyfikacji równoległe z postępowaniem wojsk amerykańskich i angielskich — alianci długo czekali na laur decydującego zwycięstwa, aż okazało się, że „drugi front” tak często spotykający się z oskarżeniami o opóźnienie i opieszałość, porusza się dostatecznie szybko by wziąć udział w wyścigu do Berlina i to ze znacznymi szansami pierwszeństwa.

W sowieckiej orbicie

Terytoria Niemiec, zajęte na Zachodzie, są jeszcze terenem walk i trzeba się liczyć z wpływem pewnego czasu, zanim opór zostanie całkowicie zgnieciony. Natomiast obszary leżące na wschód od linii frontu Armii Czerwonej doznają znacznie szybszej pacyfikacji, będąc ziemiami albo dawnych satelitów Niemiec, albo — ziemiami sojuszników (Polska, Czechy).

Związek Sowiecki dba, by zapewnić tam sobie istnienie rządów, określając przez prasę moskiewską mianem „przychylnych”. W Rumunii, pod wpływem Wyszyńskiego doszło do dymisji gen. Radescu i powierzenia urzędu premiera Piotrowi Grozea, funkcji zaś ministra spraw zagranicznych — Tatarescu, mimo iż Grozea był niegdyś członkiem antysowieckiej partii gen. Averescu, znanego zwolennika współpracy z Rosją. Oportunizm głównych postaci rządu jest jaskrawy, reszta zaś gabinetu tworzy odłam socjalistów i partia komunistyczna.

W Czechosłowacji prezydent Benes powołał nowy rząd, łączący dotychczasową czechską emigrację w Londynie z czechskimi kołami politycznymi z Moskwy. Miejsce premiera Szramka zajął Zdenek Fierlinger. Tymczasową siedzibą rządu są Koszyce. Podczas pobytu w Moskwie prezydenta Benesa i części rządu byłego premiera Szramka przeprowadzono rozmowy, w których wyniku ustalono, że Związek Sowiecki udzieli Czechosłowacji rozległej pomocy gospodarczej, dostarczy ekwipunku dla armii, Czechosłowacja zaś nada akcent państwistyczny swej polityce, opierając ją na przyjaźni z Rosją, „nową, demokratyczną Polską”, Bułgarią i Jugosławią marsz. Tito. W oświadczeniu złożonym w Koszycach, Fierlinger dodał: „Pro-słowiańska tendencja w naszej polityce zagranicznej nie przeszkodzi zachowaniu naszych dobrych stosunków z anglosaskimi demokracjami i Francją”. Temperatura tego zdania jest raczej letnia w porównaniu z „close cooperation not only in military but also in the economic and cultural spheres” — jak zadeklarowano wobec Rosji.

Sprawy graniczne, tj. problem Rusi Zakarpackiej postanowiono załatwić przez plebiscyt. Premier Fierlinger sam określił ludność tej części Czechosłowacji jako Ukraińców i zapewniał, iż będzie ona mogła wyrazić swą wolę w demokratycznym głosowaniu. Ten szczegół uregulowania stosunków czechosłowackich szczególnie uderza na tle stanowiska Rosji wobec granic polskich. Mimo, iż sami Czesi, jak wynika z przytoczonego oświadczenia, nie kwestionują ukraińskiego charakteru mieszkańców Rusi, lub jak kto woli — Ukrainy zakarpackiej, wybrano metodę plebiscytu zamiast przeprowadzenia nowej granicy za wspólną zgodą, nie mówiąc już o metodzie decyzji jednostronnych, czy metodzie okupacji.

Kompromis bez kompromisu

Powolna praca Komisji trzech w Moskwie przyniosła Anglosasom zdecydowane rozczarowanie. Legalny rząd polski w Londynie nie przyjął układu krymskiego za podstawę do dyskusji, liczone jednak, iż znajdują się polscy przywódcy polityczni gotowi na pewnych warunkach do rokowań i że będą oni życzliwie spotkali przez drugą stronę. Okazało się jednak, iż minimalne warunki wysuwane przez b. premiera Mikołajczyka są jednak wyższe od warunków jałtajskich, oraz, że — jak mówi przysłowie angielskie — „dwóch trzeba do zabawy”. Te właśnie osobistości polityczne, które dyplomacja angielska typowała na przyszłą konferencję moskiewską, spotkały się z gwałtownymi atakami zarówno Moskwy, jak i Lublina. Czołowym zarzutem był zarzut nie-demokratyczności, stawiany przywódcy stronnictwa ludowego, którego właśnie premier Churchill i min. Eden uważali niemal za symbol polskiej demokracji. Tak więc — z jednej strony znajdował się komitet lubelski, ewentualnie gotowy zgodzić się łaskawie na kooptację niezaangażowanego partyjnie zawodowego dyplomaty, z drugiej zaś — kateryczne stanowisko rządu polskiego i właściwie brak kandydatów wśród polskiej opozycji na do-słowne warunki Jałty.

Wśród Komisji trzech, mającej patronować w Moskwie utworzeniu nowego rządu polskiego, powstały zasadnicze różnice. Komisarz Molotow, przewodniczący Komisji, sądził, że rozmowy są możliwe jedynie z partiami przeciwstawiającymi się polityce rządu londyńskiego, przy czym stawał jeszcze szereg zastrzeżeń personalnych, natomiast Sir Archibald Clark Kerr, ambasador angielski i Averill Harriman, ambasador amerykański, widzi zdania, że wokół okrągłego stołu spotkać się muszą wszystkie polskie ugrupowania polityczne. Wśród nich zasiada także przedstawiciel komitetu lubelskiego, jednakże nie cały komitet *in corpore* traktowany jako już istniejący rząd — czego znów domagał się komisarz Molotow.

W Stanach Zjednoczonych min. Stettinius na zapytania dziennikarzy odpowiadał z niezmiennym

optymizmem, mówiąc o trwającej wymianie zdań w sprawie polskiej między Waszyngtonem, Londynem i Moskwą. W międzyczasie rząd polski wystąpił z protestem przeciw pominięciu Polski w zaproszeniach na konferencję w San Francisco. Jest istotnie bolesnym paradoksem i rażąca krzywdą owe przynusowo puste polskie miejsce wśród Narodów Zjednoczonych, podczas gdy Polska pierwsza zbrojnie przeciwstawiła się nazizmowi, podczas gdy Polska walczyła nieprzerwanie, a jej straty — 10 milionów obywateli — nie mają sobie równych (w procentach) wśród innych narodów.

Rządy amerykański i angielski nie poparły polskiego protestu, nie podjęły również myśli zaproszenia do San Francisco, licząc się z góry zarówno z odmiennym stanowiskiem Rosji, jak i z układem krymskim stwierdzającym jednoznacznie, iż tylko rząd nowoutworzony przez Komisję trzech będzie na tej konferencji reprezentowany.

W odpowiedzi na protest polski „rząd” w Lublinie zaczął domagać się zaproszenia jako „właściwy reprezentant” narodu polskiego. I tu rzeczy poszły innym torem — mianowicie Zw. Sowiecki poparł gorąco dezzyderat Lublina, oddalając się tym samym od wyraźnych postanowień kompromisu jałtajskiego.

Słowo „kompromis” może razić, gdy mowa właściwie o sankcjonowaniu żądań rosyjskich. Decyzje krymskie nie były kompromisem co do treści, były nim jednak co do formy: słowo „demokracja” powtarzało się w tej formule bardzo często i zagwarantowano przynajmniej gesty, osłaniające przykrą dla Polski rzeczywistość. Rząd sowiecki zrezygnował i z gestów, dając wyraźnie do zrozumienia, iż *beatus qui tenet* i że realizacja uchwał jałtajskich zależy wyłącznie od jego woli. Prasa brytyjska nie ukrywała rozczarowania, prasa amerykańska posuwała się nawet dalej, wszystko zaś było lekcją, jak niekiedy trudne bywają właśnie kompromisy.

Koncesje brytyjskie i amerykańskie mają swe jasne przyczyny. Z rezultatów spotkania wynika, iż Roosevelt i Churchill nie uzyskali ustępstw ze strony Stalina. Pozostawało im albo przyjęcie tezy rosyjskiej, albo też pozostawienie sprawy otwartej — rzecz niewątpliwie nielubna, albo wreszcie — pogodzenie się z pierwszym jawnym rysem w jednolitość sojusznicy. Łatwo zrozumieć, iż w przededniu decydujących ofensyw, wybrano pierwszą możliwość. Tym niemniej było to ustępstwo ciężkie dla demokracji anglosaskich i zrodziło dbałość opinii, by przynajmniej na nich się zatrzymać. Taktyka sowiecka wskazała, iż jest to rzecz raczej trudna i sprawa doszła do martwego punktu.

Zaproszenie gen. Iwanowa

Aż wreszcie zjawiał się nowy czynnik na widowni: Armia Czerwona. W końcu lutego br. wicepremier i delegat rządu RP. na Kraj oraz ostatni komendant rozwiązanej Polskiej Armii Krajowej otrzymali, ponowione pisemnie, zaproszenie na konferencję do dowódcy pierwszego białoruskiego frontu, gen. Iwanowa. Z podobnym zaproszeniem zwrócono się do przywódców polskich partii politycznych. Zarówno wicepremier jak i polscy przywódcy polityczni odpowiedzieli, iż muszą przede wszystkim porozumieć się z rządem R.P. w Londynie, zanim przystąpią do jakiegokolwiek rokowań, po czym dnia 20 marca br. pułkownik NKWD, Pimonow, zawiadomił, że władze sowieckie zgodziły się udzielić dwunastoosobowego samolotu dla przewiezienia przedstawicieli partii politycznych do Londynu celem umożliwienia im porozumienia się z rządem polskim.

Dnia 7 kwietnia br. Polska Agencja Telegraficzna w Londynie ogłosiła komunikat urzędowy, który po streszczeniu historii kontaktów między pułkownikiem NKWD, Pimonowem, a ministrami i delegatami polskiego Państwa Podziemnego, podaje co następuje:

„Zgodnie z zaproszeniem z dnia 27 marca r. b. przybyli do kwatery gen. Iwanowa wicepremier i delegat Rządu na Kraj, przewodniczący Rady Jedności Narodowej i ostatni komendant rozwiązanej Armii Krajowej. Z wizyty tej dotychczas oni nie powrócili”.

„Dnia 28 marca br. udało się do dowódcy pierwszego frontu białoruskiego, zgodnie z zaproszeniem, trzech ministrów Rządu RP. na Kraj i ośmiu członków polskich stronnictw politycznych wraz z tłumaczem. Także i oni nie powrócili dotychczas z tej wizyty”.

Komunikat PAT'a wywołał żywe zainteresowanie i poruszenie opinii anglosaskiej. Uderzało przede wszystkim, że o powyższym kroku, ani też o ewentualnych pertraktacjach nie zostali powiadomieni dwaj pozostali członkowie moskiewskiej Komisji trzech. Również rząd brytyjski nie został żadną inną drogą uprzedzony o jednostronnym kroku rosyjskim, tak że *Times* czuł się upoważniony do napisania w swoim komentarzu: „Jest faktem, że rząd brytyjski nic nie wiedział o powyższych rokowaniach, a twierdzenia, że był o nich poinformowany przez rząd sowiecki, są bezpodstawne”. Dziennik angielski uważa, iż komunikat PAT'a mógł być zrozumiany jako wiadomość o zniknięciu polskich przywódców politycznych porwanych w jakichś „ponurych celach”, — kończy zaś, że „prawda jest mniej przykra, lecz wciąż niepokojąca”.

Używając określenia „niepokojąca” *Times* ma na myśli całkowitą jednostronność kroku rządu rosyjskiego, trudną do pogodzenia z uchwałami konferencji w Jałcie. Rosyjską próbę nawiązania rokowań z polskim ruchem podziemnym interpretuje jako chęć przekształcenia komitetu lubel-

skiego w nowy rząd polski za wszelką cenę przed konferencją w San Francisco, gdzie brak reprezentacji polskiej i trudności czynione przez Zw. Sowiecki w przeprowadzeniu uchwał krymskich mogłyby się spotkać ze złym przyjęciem. Podkreśla wreszcie artykuł, że Polska pierwsza przeciwstawiła się zbrodni hitleryzmu, toteż nierozwiązanie zagadnienia polskiego przed San Francisco byłoby „szczególnie nieszczęśliwą wróżbą”.

„Rząd brytyjski — zamyka *Times* swe rozważania — zgodny jest całkowicie z Rosjanami w dążeniu do najszybszego rozwiązania, rozwiązanie jednak musi zgadzać się w duchu i literze z deklaracją krymską”. Wyrażane nieraz na tym miejscu obawy, że słowo „demokracja” może posiadać różne znaczenie w różnych długościach geograficznych, zdają się być w pełni potwierdzone.

W przededniu San Francisco

Jeszcze większe zdziwienie w opinii zachodniej wywołał skład delegacji sowieckiej do San Francisco, pomijający pierwotnie osobę komisarza Molotowa, a powierzający przewodnictwo ambasadorowi rosyjskiemu w Waszyngtonie. Kontrast jest jaskrawy, gdy przypomnimy, że na czele delegacji angielskiej stoi minister Eden, drugim zaś członkiem jest wicepremier gabinetu, Atlee, przywódca *Labour Party*. Tkwi w tym wyraźna intencja, ażeby Anglia była reprezentowana na konferencji nie tylko przez konserwatywnego ministra, ale i przez członka Partii Pracy. W ten sposób odpowiedzialność za decyzje zapadłe w San Francisco przynajmniej na siebie niejako cały naród angielski. Jeszcze bardziej charakterystyczna jest delegacja amerykańska, w której biorą udział zarówno senatorowie demokratyczni, jak i opozycyjni senatorowie republikańscy. Porównanie składu delegacji trzech mocarstw dało miarę, jaką przywiązuje każde z nich do międzynarodowej współpracy i organizacji bezpieczeństwa. Z drugiej strony prasa światowa powtarzała liczne pogłoski, że stanowisko rosyjskie może ulec zmianie w zależności od stosunku Ameryki i Anglii do prób stworzenia przez Moskwę nowego rządu polskiego w Lublinie. I tak istotnie stało się, gdy Stalin na życzenia prez. Trumana powołał Molotowa na czoło delegacji.

Z gestem pewnego rodzaju niedoceniania San Francisco kontrastuje posunięcie Rosji wobec Japonii. Utrzymane w ostrej formie wypowiedzenie paktu z Japonią stwarza możliwość albo uzyskania dalszych korzyści od Japonii, albo też daleko idącego poparcia Stanów Zjednoczonych w konflikcie z Krajem Słońca. Wzrost zaangażowania rosyjsko-japońskiego może wpływać na stosunek Stanów Zjednoczonych do spraw europejskich, jeżeli wolno powołać się na opinię byłego ambasadora, Davisa upominającego Amerykanów, by nie powtórzyli błędów Anglii i Francji w rokowaniach z Sowieciami z r. 1939, tzn. by nie cofnęli się przed ustępstwami dla pozyskania sprzymierzeńca w ciężkiej walce z Japonią.

Arytmetyka z Jałty

Sprawa polska nie jest jedyną chmurą, ciążącą na San Francisco. Drugim przedmiotem nie-pokoju tzw. małych narodów jest kwestia techniki głosowania na Zgromadzeniu Ogólnym nowej organizacji światowej. „Małe państwa” domagają się, aby zgodnie z zasadami demokratycznymi, każde suwerenne państwo posiadało po jednym głosie. Wynika stąd, że dominia angielskie będą mieć samodzielne głosy niezależnie od metropolii, co w sumie daje brytyjskiemu Commonwealth sześć głosów. W przewidywaniu tego Rosja Sowiecka zażądała na konferencji krymskiej, aby przyznano również prawo głosu Białorusi i Ukrainie. Trudno dla tego wymagania znaleźć uzasadnienie prawne i ideologiczne. Stanowisko wszystkich republik Związku Sowieckiego jest równe i z tego punktu widzenia nie ma powodu, aby przy stole konferencyjnym San Francisco zasiadali delegaci Ukrainy, nie zasiadali zaś np. delegaci Uzbekistanu. Toteż targ o głosy nabrał wyraźnie cech prestiżowych. Jak zostało ujawnione, prezydent Roosevelt doszedł ze Stalinem w Jałcie do poufnej ugody, według której Rosja „w uznaniu jej bohaterstwa w walce z Niemcami” miała mieć na Zgromadzeniu w San Francisco trzy głosy. Z kolei Stany Zjednoczone miały również otrzymać trzy głosy, co nielato wyłumatyć demokratycznymi zasadami. Stany Zjednoczone są republiką związkową i przyjęcie sowieckiej konsekwencji *ad absurdum* doprowadziłoby do 48 głosów dla Ameryki. Wyjście owego układu na jaw wywołało z jednej strony obawy, że konferencja w Jałcie ma za sobą także szereg innych tajnych porozumień, z drugiej zaś — oburzenie państw południowo-amerykańskich przeciw niedemokratycznemu traktowaniu organizacji Narodów Zjednoczonych. Ostatnio Departament Stanu wycofał się z poprzedniego stanowiska, przyjmując tezę senatorów republikańskich, iż każde państwo powinno rozporządzać jednym głosem. Załagodziło to groźący konflikt, tym niemniej w San Francisco może powstać pytanie, czy Białoruś jest państwem suwerennym, jeżeli państwem suwerennym jest Kanada. Rozpatrywanie różnic prawnych i faktycznych mogłoby być drażliwe.

W przededniu konferencji w San Francisco liczba Narodów Zjednoczonych powiększyła się o Turcję, Egipt, Syrię i Liban. Przystąpienie Turcji do wojny zostało w Anglii przyjęte życzliwie choć letnio, natomiast prawie że niechętnie w Związku Sowieckim, którego prasa od dłuższego już czasu nie szczędziła Turcji swoich ataków. Dalsza ich konsekwencją było wypowiedzenie sowiecko-tureckiego paktu o nieagresji. Sowieci gotowi są zawrzeć nowy układ, żądając jednak całkowitej swobody ruchów w cieśninach oraz prawdopodobne zmian granicznych na Kaukazie. Rozwój tej sprawy może wpłynąć na wewnętrzne stosunki tureckie, ponadto zaś będzie żywo interesował Anglię. Tu również, podobnie jak w Europie środkowej, przebiegnie linia graniczna interesów brytyjskich i sowieckich.

13. 4. 1945.

zb.

Wydawca: Ignacy Pokrywa
Adres Redakcji: Polish Information Centre
Jerusalem, Bezalel Street, House Valero
Redaktor: St. A. Balicki
Drukarnia: The Jerusalem Press Ltd.

W dniu dzisiejszym, po sześciotygodniowej przerwie, wydawnictwo „W DRODZE” wznowia publikowanie pisma pod tą samą nazwą. Będzie się ono nadal ukazywało jako dwutygodnik polityczny i literacki w objętości 8—12 stron, kontynuując tradycję „W DRODZE” w obronie słusznych praw Polski, ideałów demokratycznych, uczciwych zasad współpracy międzynarodowej — w dążeniu do wszechstronnej i obiektywnej informacji — w staraniach o stałą współpracę czołowych piór emigracji.

Podczas przerwy w ukazywaniu się pisma, dotychczasowy redaktor naczelny „W DRODZE”, dr Wiktor Weintraub, wyjechał do Londynu, redakcję zaś objął Zdzisław Broncel.